AS

Nr. 42

18 PAŹDZIERN. 1936
CENA 40 GROSZY

Z CZASÓW KONGRESU WIEDEŃSKIEGO

UROCZA ARTYSTKA JOAN CRAWFORD





Uwagę dziecka „cichego" pochłania praca przy pokrywaniu papieru „rysunkami".

DZIECI SIĘ BAWIĄ...

„Ludzie nie dlatego przestają się bawić, że starzeją się, ale dlatego się starzeją, bo przestają się bawić".
(Marek Twain).

Dziecko i zabawa ,to dwa nierozłączne pojęcia. Cóżby znaczyło dziecko bez zabawy i któżby się bawił jak nie dziecko? Ruch, ciągły ruch od pierwszych miesięcy życia! Z początku niezorganizowany, pozornie niecelowy, później zmienia się, poddaje się systemowi, który tworzy każda zabawa. Zabawa jest tak dziecku potrzebna, jak sen i pożywienie. Wypływa ona z głębokiej jego potrzeby. To też na szczęście nie trzeba go do niej nakłaniać, bawi się ono spontanicznie, a tylko dzieci chore nie bawią się. Oczy nasze przyzwyczaiły się do ciągłej czynności dziecka, którą tworzy zabawa, bo rodzi się ona z potrzeby ruchu.

Zabawy najmniejszych są często samotne, dziecko otacza się zabawkami. To zabawki kupowane często, na każde żądanie, z każdej wystawy, zabawki drogie, często brzydkie i niepraktyczne; częściej zabawki wyśnione, długo wyczekiwane, aż wreszcie okoliczność św. Mikołaja, imieniny, urodziny — urzeczywistniają dziecięce marzenia.

Zabawki — świat małego człowieczka! Dla nas martwy, dla niego pełen życia. Do tego otoczenia dziecko ustawicznie „ciągnie", w niem jest panem każdej sytuacji, którą samo stwarza, dziecko w tem otoczeniu „wyżywa się". W każdej chwili bez obawy kary, jeśli otaczają dziecko ludzie rozumni, może mały niszczyciel rozpruć lalce brzuch lub wydłubać jej oczy, a mały wisus wyciągnie z impetem uszy koniowi. Bo należy wniknąć w sens tych niszczycielskich poczynań. — Dziecko zaspokaja swą ciekawość, wczuwa się w rolę odkrywcy.

Zabawki przechodzą swoją ewolucję. Minęły czasy, gdy mały „wódz" doprowadzał zawsze do klęski drewnianych lub metalowych żołnierzyków, jeśli byli bolszewikami i często na strychu leżą konie na biegunach. Miejsce ich zajmują samochody, samoloty i inne „motory" zwane... hulajnogami. Czas zmienia i zabawki.

Z dorastaniem dziecka zmieniają się i upodobania. Objawia się tutaj chęć bawienia, ale nie w pojedynkę, lecz w zespole, gromadnie. Ma to wielkie znaczenie, gdyż uspołecznia dziecko. To też wielkim błędem jest izolowanie dziecka od towarzystwa, tak często spotykane u inteligencji małomiasteczkowej.

Nie można instynktów tłumić, trzeba im dać tylko prawidłowy bieg. Jak dając dziecku zabawki zaspakajamy jego instynkt posiadania, tak też należy dziecku dać możność postawienia się w gronie towarzyszy. Zabawa ma charakter kompensacyjny, czyli w zabawie dziecko żyje tem, czego mu brak w życiu, a czego pragnie nieraz nawet nieświadomie.

Przez zabawy gromadne dziecko nabiera obowiązkowości w sprawach wspólnych, nabiera szacunku dla drugich, rozwija towarzyskość.

Należy więc dzieciom ułatwić zabawę w gromadzie. Ułatwimy ją, nie zabraniając mu zabawy w parkach i ogrodach Jordanowskich. Opieka odpowiednich instruktorów, dobieranie co ładniejszych zabaw, odpowiedni teren w zdrowem miejscu — to wielka zasługa miłośników dzieci, zapoczątkowana przez największego przyjaciela małych — H. Jordana.

Nie mają tu jednak zabawy tego uroku, jaki bezsprzecznie posiadają zabawy dzieci miast mniejszych i wsi, gdzie rozległy, często nieznany teren pełen jest „niebezpieczeństw", które dziecko pokonywa z taką satysfakcją! Kontrola starszych odnośnie każdego kroku dziecka, stwarza wyśmienite warunki do zaspokojenia jego pragnień.

Zabawa jako czynność pierwotna człowieka, wypływająca z jego własnej woli, z własnej potrzeby, sprzyja rozwojowi psychicznemu i fizycznemu dziecka. Radość, pogoda ducha, wypoczynek, zaspokojenie przez wyładowanie energji — są objawami, towarzyszącemi zabawie. Zachodzi tu pozorna sprzeczność, że jeśli zabawa jest wyładowaniem energji, to nie może być wypoczynkiem. Lecz jest nim właśnie, jest tym cudownym lekiem na zmęczenie i nudę, który powinni stosować i starsi. Ale jeszcze inne znaczenie posiada zabawa.

Przez swą odrębność, zależnie od miejsca swego pochodzenia, mówi nam o charakterze danej okolicy kraju, o przyzwyczajeniach, obrzędach, nawyknieniach, o — kulturze. — I ten regjonalizm jest niemałym walorem zabaw. Pozwólmy dzieciom się bawić jak najdłużej. Przez zabawę do — radości życia.

Władysława Mokosikówna.

Poniżej: Ileż inwencji i pomysłowości wkłada dziecko w budowanie „kolejki".



Poniżej: Oto wysoce absorbująca zabawa — rzucanie kolorowych kulek w wykopane w ziemi dołki.



Poniżej: Huśtawka, to tania, lecz nadwyraz emocjonująca rozrywka.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILLSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 42 **Niedziela 18 października 1936** **Rok II**



Fot. Wide World — Londyn.

Słynny reżyser amerykański i aktor filmowy Józef von Sternberg, twórca tylu wspaniałych filmów i ról, jest namiętnym podróżnikiem, a w swoich wycieczkach po świecie zbiera materjał do swych kompozycyj filmowych. Ostatnio udał się Józef von Sternberg do Japonji, chcąc poznać tam tajniki duszy Wschodu. Oto widzimy go (w środku) w otoczeniu gejsz w jednej z licznych herbaciarni w stolicy kraju „Wschodzącego Słońca".



Drapieżny gad Tyrannosaurus w walce z innym gadem zwanym Triceratops, na którego 2-metrowej głowie znajdują się dwa wielkie rogi.

OLBRZYMY SPRZED MILJONÓW LAT

Duży rozwój nauk przyrodniczych datujący się zwłaszcza od półtora wieku pozwolił na poznanie i zbadanie otaczającego świata mineralnego, królestwa roślin i zwierząt nietylko w sąsiedztwie zbiorowisk ludzkich, lecz także w najodleglejszych i najniedostępniejszych wnętrzach puszcz podzwrotnikowych, niebotycznych obszarach górskich i lodowych pustyniach krain podbiegunowych. Człowiekowi nie wystarczyło poznanie tego wszystkiego, co znajduje się na powierzchni ziemi, coraz dalej próbuje wdzierać się wgłąb ziemi, a szybki rozwój lotnictwa pozwala mu na dotarcie do stratosfery, co jeszcze nie tak dawno mogło być tylko — nieziszczalnym wydawałoby się — marzeniem. Coraz lepsze mikroskopy i ultramikroskopy pozwalają na obserwację i badanie zjawisk niedostępnych bezpośrednio naszym zmysłom, przy pomocy ulepszanych ustawicznie lunet astronomicznych odkrywamy całe nowe światy tak bardzo od nas odległe.

Mieszkańca ziemi jednak oddawna nietylko interesowało to wszystko, co się koło niego dzieje i zbadanie praw rządzących zachodzącymi zjawiskami i przemianami, stara się on odpowiedzieć i na pytanie, co było dawniej, kiedy powstał świat i jak rozwijało się na nim życie.

Jeszcze nie wiele dawniej, jak przed trzystu laty prawie powszechnie panowało mniemanie, że świat został stworzony w r. 4004 przed Chr., a poważni uczeni prowadzili tylko, śmieszne dzisiaj dla nas, dyskusje, czy nastąpiło to na wiosnę czy w jesieni tego roku. Następne jednak zdobycze wiedzy w różnych dziedzinach nie pozwoliły na utrzymanie tej daty, opartej na zbyt dosłownem tłumaczeniu Biblii, wiemy obecnie, że w tym czasie panowała w Egipcie już od setek lat cywilizacja. Późniejsze badania kazały ten okres powstania ziemi i życia przesunąć do dziesiątków milionów lat, obecnie jednak wiemy, że skorupa ziemska ma przynajmniej półtora miliarda lat t. j. ponad tysiąc milionów lat, a ziemia jako całość jest niewątpliwie znacznie starsza. Również i pierwsze ślady życia które zachowały się, pochodzą z przed setek milionów lat.

Inne były rośliny w tych odległych czasach, inaczej wyglądały i ówczesne zwierzęta, które w potocznej mowie często nazywamy „przedpotopowymi". W różnych czasach dominowały rozmaite grupy zwierząt. Dokładna obserwacja zachowanych resztek i ich występowania przekonała badaczy, że nie wszystkie gatunki powstały równocześnie: najpierw zjawiły się zwierzęta stojące na najniższym stopniu rozwoju, dopiero z biegiem tysięcy i milionów lat zjawiły się formy wyższe, coraz bardziej zbliżone do znanych i żyjących obecnie na ziemi. Jedne gatunki wymierały, inne wstępowały na ich miejsce, a głównym czynnikiem, który o tem decydował, było przystosowanie się do warunków, które ulegały zmianom.

Początkowe formy zwierząt, które zjawiły się na ziemi, były drobnych rozmiarów, dopiero z biegiem długich okresów czasu możemy obserwować zjawienie się form większych, a wreszcie prawdziwych olbrzymów, wobec których stajemy zdumieni.

Niedawne to jeszcze czasy, kiedy kości wielkich zwierząt z ubiegłych epok uważano za kości ludzi-olbrzymów, którzy mieli żyć w czasach dawniejszych. Dopiero rozwój zoologii i anatomii pozwolił na stwierdzenie, że są to przedstawiciele takich samych lub zbliżonych przynajmniej do tych grup zwierząt, które żyją obecnie w różnych częściach świata. Od wielu lat wysyłano specjalne ekspedycje w te strony, gdzie znaleziono jakieś resztki kopalne. Żmudna nieraz i długotrwała praca czekała pracowników muzeów, którzy z zebranych, przeważnie pojedynczo znajdowanych szczątków musieli rekonstruować całe szkielety wygasłych już obecnie zwierząt. Z biegiem czasu udało się nietylko powiązać poszczególne resztki kostne w pełne szkielety, ponadto z wielu szczegółów budowy ich ciała, jak i z samych znalezisk zaczęto odtwarzać sposoby życia zwierzęcia, które przed dziesiątkami czy nawet setkami milionów lat przebywało na tych obszarach, gdzie dzisiaj wznoszą się miasta czy wsie.

Po rybach i płazach, które z kręgowców pierwsze zjawiły się na naszym globie, nastąpiło pojawienie się olbrzymich gadów, które należą do tej samej grupy zwierząt, co dzisiaj żyjące krokodyle i jaszczurki. Najpospolitszymi wygasłymi gadami były Ichtiozaury, stanowiące pośrednie ogniwo pomiędzy rybami a jaszczurami. Były to olbrzymie zwierzęta dosięgające 10 metrów długości, o wy-



Olbrzymi gad morski Mosasaurus rzuca się na żółwia, w powietrzu unoszą się Pterodaktyle.

dłużonym cienkim ogonie i czterech pletwach służących do pływania. Wydłużony pysk, podobny do paszczy krokodyla, uzbrojony był w liczne ostre zęby, które stanowiły groźne



Jednem z największych zwierząt kopalnych to Brontosaurus żyjący w bagnach i żywiący się roślinami.

Na prawo: Gady kredowe „Protoceratops", których szkielety zostały odkryte w Mongolji w roku 1922 przez amerykańską ekspedycję naukową.



niebezpieczeństwo dla ryb i innych mieszkańców ówczesnych mórz.

Innymi drapieżnymi morskimi gadami były Plezjozaury, których znamy już ponad 50 gatunków. Zbliżone trybem życia do Ichtiozaurów różniły się od nich budową ciała, a przedewszystkiem długą szyją, która dochodziła do połowy długości całego ciała. Do spokrewnionej grupy gadów należy również i Mosasaurus, dochodzący do 20 metrów długości, a odznaczający się nadzwyczajną giętkością kręgosłupa, co niewątpliwie ułatwiało temu zwierzęciu szybkie ruchy w wodzie i chwytanie zdobyczy.

W ciągu długich tysiącleci rozwój prowadził do powstania nowych gatunków o odmiennej budowie. Z Plezjozaurów rozwijały się gady o większych głowach, a krótszych szyjach, przypominające nieco dzisiejsze żółwie. Pojawiają się olbrzymy lądowe — dinozaury, dosięgające dwudziestu pięciu metrów długości; niekiedy występują i gatunki mniejsze.

Jednymi z największych zwierząt, jakie kiedykolwiek zamieszkiwały naszą ziemię, były Brontozaury. Długością swego ciała przekraczały nieraz 25 metrów, wysokość ich wynosiła niemal 5 metrów, waga zaś tego potwornego cielska wynosiła około 40 tonn. Mimo swej olbrzymiej wielkości były to naogół zwierzęta niegroźne dla otoczenia, pożywienie ich stanowiła roślinność bagienna. Przy tak dużem cielsku posiadały one małą głowę i mózg słabo rozwinięty, co zapewne także zdecydowało, że w walce o byt musiały ustąpić innym grupom zwierząt.

Również zwierzętami roślinnożernymi były Stegozaury, budową swą podobne już nieco do ssaków, a zwłaszcza do dzisiejszych łuskowców. Były to zwierzęta przewyższające swą wielkością dzisiejszego słonia, na grzbiecie posiadały szereg wielkich tarcz kostnych, tworzących wielki grzebień.

Obok tych olbrzymich przedstawicieli gromady gadów, które były zwierzętami roślinożernemi, żyły i gady mięsożerne, które w niedługim czasie wytępiły te bezbronne olbrzymy. Z tych drapieżnych gadów za najgroźniejszego uchodził Tyrannosaurus. Zwierzę to chodziło na tylnich nogach, opierając się nieraz i na długim ogonie. Do chwytania zdobyczy służyły mu przednie odnóża zaopatrzone w groźne zakrzywione pazury, któremi rozszarpywał napadniętą zdobycz.

Prócz gadów wodnych i lądowych pojawiły się i gady latające w powietrzu. Jednym z ważnych ich przedstawicieli był Pterodactylus. Był to gad wielkości średniego ptaka o wydłużonej głowie i uzębionych szczękach. Były to pierwsze latające kręgowce, po których dopiero później miały pojawić się pierwsze ptaki kopalne.

Wszystkie te opisane zwierzęta żyły w epokach geologicznych odległych od naszej ery o 100—150 milionów lat. Doszedłszy do najwyższego rozwoju w okresach nazwanych przez geologów jurajskim i kredowym uległy następnie losowi wielu innych dawniej żyjących grup zwierzęcych, wymierając i ustępując nowym formom, które okazały się lepiej przystosowanymi do zmienionych warunków życia.

Dr M. K.

Poniżej: Stegosaurus, olbrzymi jurajski gad posiada na grzbiecie tarcze kostne i kolce na ogonie.



Tańce Ziemi Piastowskiej.

DRYPEK · OBRACANY · MŁYNORZ

Ostatnio w nr. 34 „Asa" zapoznaliśmy naszych Czytelników z ciekawemi tańcami ludu śląskiego. Poniżej zaznajomimy Ich z dalszemi tańcami Ziemi Śląskiej.

Pójdziemy raz jeszcze do Dąbrówki Wielkiej, skąd zaczerpnęliśmy temat dla zobrazowania „Trojaka" („As" Nr. 34). Bo na Trojaku zaczyna się taniec śląski, ale się nim wcale nie kończy, choć jak polonez najwięcej ma poważania i z pośród innych najwięcej jest znany w innych dzielnicach naszego kraju.

Drypek.

Moderato.

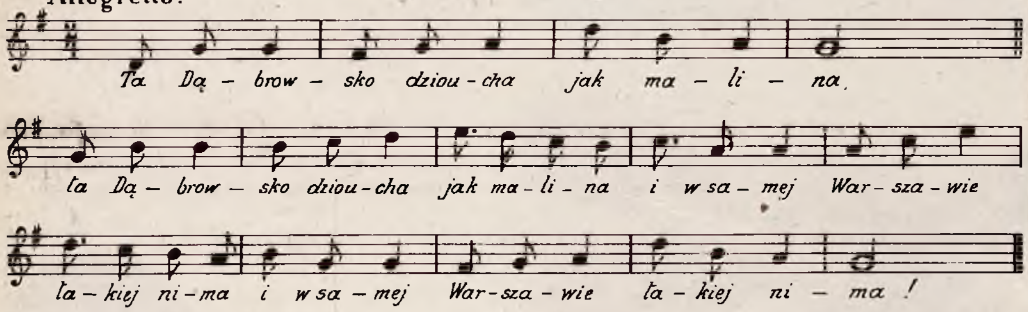


Ale czy znacie „drypka", „obracanego", „młynorza" i inne?

Warto je zobaczyć, poznać i... zatańczyć z innymi w takt ochoczej muzyki z przyśpiewkami, o słowach prostych, naiwnych, czerpanych z szarego dnia codziennego, który się na wsi śląskiej przędzie nagół bezbarwną, zjeżoną węzełkami nicią...

Obracany.

Allegretto.



Oto i „drypek": stają pary, trzymając się jak do walczyka i w jego powolnym rytmie i tempie i posuwają — podskakując — nogi. Kończy się 8-my takt melodji, budowanej najprostszemi motywami czterotaktowemi. Tańczący biorą się za obie dłonie i tak stojąc naprzeciw siebie, przechylają się ku sobie w dwóch następnych taktach, poczem pochylając się w tył, podskakując, szurają nogami w takt następnych dwóch taktów, zmieniając jeszcze raz te same ruchy, poczem wracają do powolnego walczyka.

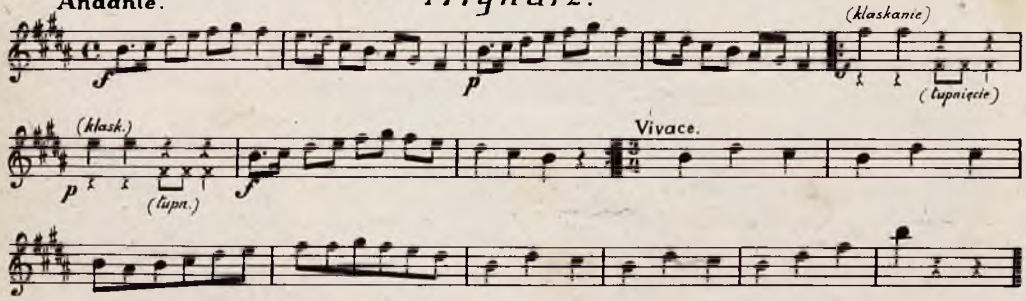
Obracany.

Lokalny charakter Dąbrówki Wielkiej zaznacza się wyraźnie w tekście piosenki śpiewanej do „obracanego"... Stara to pieśń, jedna z najstarszych na Górnym Śląsku. Tradycje jej sięgają aż hen do czasów przyjazdu Dąbrówki do Mieszka. Dąbrowiacy cenią swoje dziewczęta, schlebiają im, jakoże są rzeczywiście hoże i ładne. Nie dziwimy się, że sobie przyśpiewują, obracając je w tańcu że: „i w samej Warszawie takich niema".

„Obracany" utrzymany jest w całości w takcie parzystym dwu ćwierciowym, a tańczy się go dziarsko, dość szybko, coś jakby polkę, z przytupywaniem kawalera, który z wesołym rozmachem prowadzi swą partnerkę po klepisku karczmy czy stodoły lub po zielonej murawie, na której też się tu chętnie tańczy.

Młynarz.

Andante.



Młynorz.

Tańcem bardziej od poprzedniego figuralnym jest „młynorz". Trudnoby znaleźć wytłumaczenia tej nazwy z plastyki tego tańca. Nie umieją jej też wyjaśnić pary tańczące w Dąbrówce Wielkiej, choć to niebyle jacy tancerze, zapraszani na pokazy tradycyjnego wesela i tańców śląskich.



„Drypek" — początek tańca — pary ujmują się jak do walczyka. Obok nuty i tekst tańca.

Zaczyna się w rytmie parzystym i w dość wolnem tempie, spacer z tancerką pod ramię dookoła sali. Po czterech taktach rozlega się naprzemian klaskanie i przytupywanie w takt muzyki i znów dwa takty „chodzonego". Ale zaraz potem zrywa się szybkie tempo trójkowe, tańczący biorą się wzajemnie za wyciągnięte dłonie, przechylają się ku sobie i od siebie, wirują wkoło, tempo się przyspiesza, galopuje, pędzi aby znów opaść w parzyste rytmy „chodzonego".

Wracając z Dąbrówki Wielkiej przejeżdżamy tuż obok granicy. Rowy, kolczaste druty, budki i budynki posterunków polskich i niemieckich. A po tamtej stronie nic innego, jeno trochę, podobnych naszym pól, gęste kominy hut i kopalń... Ale nad każdą z nich wznoszą się swastyki w czerwonem polu.

Ziemia opasana pasem granicznym, drga i dyszy westchnieniami bólu, że nim rozdarto między obce moce tensam lud, od wieków tu osiadły i potem znoju ciężkiego zraszający wydarte dobra. Ten sam lud, ta sama wiara, ten sam obyczaj i język i te same w nieskażonej do dziś zachowane formie piękne tańce ziemi piastowskiej. **(H-a).**



„Obracany" — zawdzięcza swą nazwę obracaniu tancerek przez ich partnerów. Na lewo odnośne nuty i tekst.

„Młynorz" — wymaga klaskania i przytupywania tancerzy. Oto jego druga figura, a po lewej widzimy nuty i tekst tańca.



KĄCIK FILATELISTYCZNY



Najnowsze znaczki: u góry belgijski z królem Leopoldem III. oraz trzy niemieckie obrazujące działalność budowniczą Trzeciej Rzeszy

Tak, jak co roku ukazała się w październiku serja niemieckich znaczków dobroczynnych, jednak znaczki te były dotąd zawsze rewelacją pod względem motywów i wykonania, czego tym razem nie możemy powiedzieć.

Temat: budowle „Nowych Niemiec". — Jest on wprawdzie bardzo ciekawy, a chociaż serja wykonana została jak zwykle precyzyjnie, to jednak nie „umyła" się do widoków miast, czy też do „fragmentów oper Wagnera" lub strojów narodowych.

Dotychczas ukazały się 4 sztuki, a wkrótce rozpocznie się sprzedaż dalszych pięciu, tak, że w stosunku do ub. roku nie wydano tylko wartości za 30 fen.

Pierwsza wartość za 3 (+2) fen.: w kolorze bronzowym, przedstawia autostradę z Monachjum do granicy niemieckiej; druga, za 4 (+3) f.: ciemno-niebieska — ministerjum lotnictwa w Berlinie, — za 5 (+3) f.: zielona, mauzoleum ku czci ks. reg. Luitpolda w Norymberdze, — za 6 (+4) f: c. zielona, most autostrady nad Saalą, — 8 (+4) f.: pomarańczowa „Deutschlandhalle" w Berlinie. Jest to największa hala kryta na świecie, w której odbywały się niektóre konkurencje Igrzysk Olimpijskich. Jest w niej miejsce dla 20.000 osób.

Dalsze egzemplarze: za 12 (+6) f. karminowy, wiadukt autostrady w Alpach, za 15 (+10) f. fioletowo bronzowy, „Dom Hitlera" w Monachjum, — za 25 (+15) f. niebieski, most nad wodospadem „Mangfall", oraz największa wartość za 40 (+35) f. przedstawia „Dom niemieckiej sztuki" w Monachjum.

Poczta niemiecka nie podaje wysokości nakładu, ważność serji trwa aż do 1 lipca 1937, a można je będzie nabywać przy okienkach pocztowych do 1 marca. Doświadczenie wielu lat uczy, że pospolite będą niskie wartości, natomiast, dwie najwyższe osiągają zawsze po upływie kilku lat wielokrotną wartość nominalną, bo mało kto chce z miejsca wydać 35 fenigów na „Winterhilfswerk". Każdy kupuje tylko jeden taki egzemplarz dla siebie, a że handlarze nie mogą nabyć odrazu większych zapasów dla siebie — rezultat jest taki, że filateliści łatwiej mogą dzisiaj uzupełnić starsze wydania z likwidowanych zbiorów, a mowy niema o tem, aby który z aktywnych zbieraczy pozbył się jakiej pojedynczej sztuki.

Dla specjalistów notujemy, że ukażą się także zestawienia łączące po 2 sztuki za 5 (+3) i 6 (+4) f., za 3 (+2) i 12 (+4) f., oraz odwrotne druki. Niektóre z podobnych zestawień stały się bardzo rzadkie, ale naogół jest mało na nie amatorów.

Obok 3 sztuk niemieckiej serji, reprodukujemy (wszystkie ze zbioru dyr. A. Landaua) nowość belgijską za 1 fr. Kolor karminowy, wykonanie: heliograwura. Nie wiadomo, czy będzie to nowa serja, bo wydano pozatem jeszcze 2 sztuki za 70 c. i 1,25 fr. bronzową, wzgl. niebieską, o innym formacie i rysunku.

W. H.

ZNACZKI „PRZYMUSOWE". W Jugosławji znaczki Czerwonego Krzyża muszą być w pewnym okresie czasu dolepiane do wszystkich przesyłek.

Dla gdańskiego portu przedrukowano 2 dalsze wartości ze serji krajobrazowej za 15 i 25 groszy.

W „Volkshochschule — Urania" w Wiedniu odbędzie się specjalny cykl wykładów p. t. „Historja najnowszych czasów na znaczkach pocztowych".

ODPOWIEDZI REDAKCJI. Panu Józefowi Bronowiczowi z Ameryki dziękujemy za list. Znaczek zreprodukujemy w jednym z następnych numerów.

SYLWETKI ARTYSTYCZNE:

MARJAN STROŃSKI

Absolwent akademji malarskiej w Krakowie, potem sławnej „Meisterschule“ wiedeńskiej, zresztą tu i tam jeden z najzdolniejszych uczniów znakomitych naszych malarzy Axentowicza i Pochwalskiego, nie zawiódł Marjan Stroński pokładanych w nim nadziei.

Pełnią talentu zabłysnął zresztą, jak tylu innych, nie wśród swoich, lecz zagranicą, gdzie tworzy szereg swoich najkapitalniejszych dzieł.

Rzym, Florencja, Monachjum, oto kolejne etapy jego wędrówek malarskich, mających na celu nie tylko zdobywanie nowych tematów, ale przedewszystkiem dalsze kształcenie się przez zwiedzanie słynnych galeryj malarskich i muzeów. Wszechstronnie starając się dopełniać swą głęboką i tak wiedzę artystyczną, kończy jeszcze szkołę fresków u prof. Parraina w Paryżu. Tam też urządza dużą wystawę swych dzieł, która cieszyła się ogromnem powodzeniem.

Długoletni pobyt zagranicą zjednał mu wśród obcych zasłużone uznanie, sprawił jednak to, że w Polsce stosunkowo zbyt mało go znano, wskutek czego nie osiągnął tu należnej popularności. O to ostatnie zresztą nie dba, wyraźnie lekceważąc wszelkie możliwości zdobycia rozgłosu.



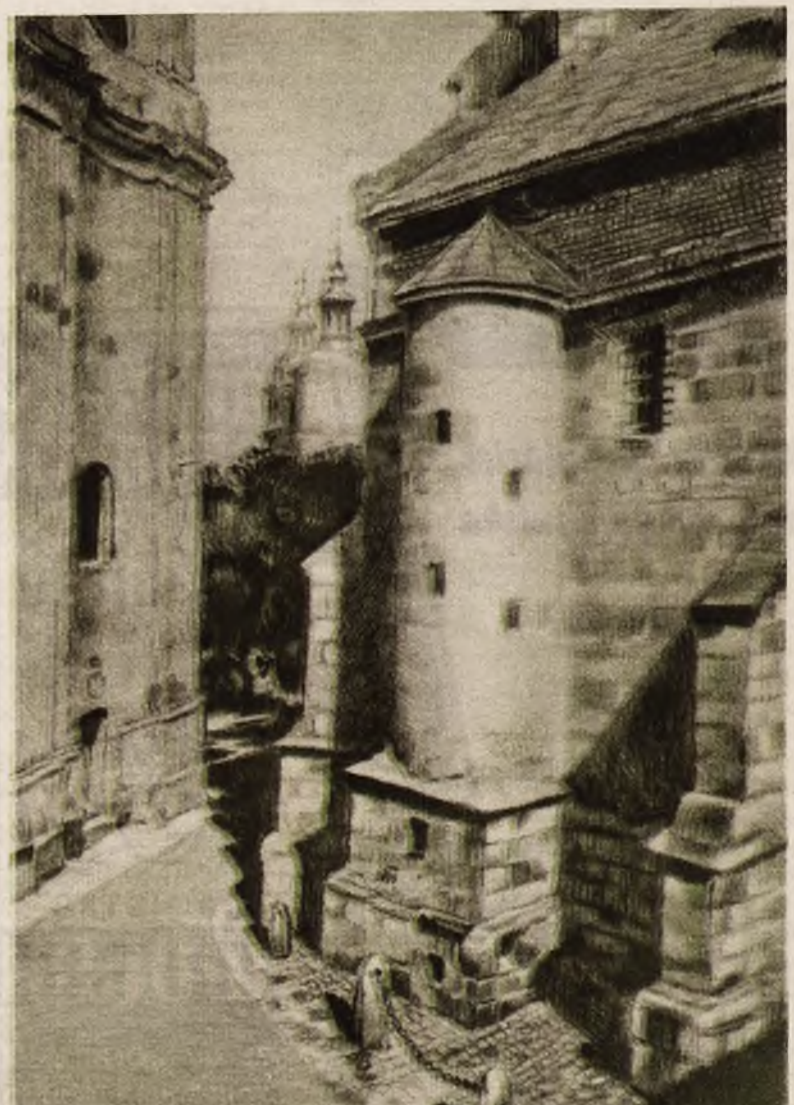
Marjan Stroński.

Po powrocie do kraju pracuje Stroński intensywnie w rozmaitych działach malarstwa, dając upust swemu wszechstronnemu talentowi. Bogata i wielostronna jego twórczość i bogactwo tematów — zasługują na specjalne podkreślenie.

Trudno określić, w czem Stroński przedewszystkiem celuje: czy w odtwarzaniu na płótnie kwiatów o bogactwie kolorów, rzadko spotykanem w polskiem malarstwie, czy w charakterystycznym portrecie, pełnym nastroju pejzażu polskim, czy w miedziorytach o ciepłych subtelnych barwach, czy wreszcie w monumentalnem malarstwie kościelnem i dekoracyjnem.



Kościół Franciszkanów w Przemyślu.



Fragment katedry łacińskiej.



Kościół Reformatów w Przemyślu.

Na prawo: „Kwiaty".



Stroński specjalnie kocha kwiaty. Ponieważ klimat nasz nie bardzo sprzyja hodowli kwiatów o bogatych i czułych barwach południa, przeto mistrz zdobywa je w oranżerjach urządzonych przy wielkich dworach małopolskich, jak np. w Krasiczynie książąt Sapiehów, lub w Czerwonogrodzie obok Zaleszczyk — uroczym zakątku Podola, stanowiącym własność księżnej Marji Lubomirskiej, która specjalnie dla artysty urządziła pracownię, dającą mu możność spokojnego przenoszenia na płótno hodowanych tam kwiatów, oraz opracowywania przebogatych rodzinnych tematów.

Pejzaż Podola, to ulubiony temat artysty. Stamtąd, z Czerwonogrodu, pochodzi szereg olejnych obrazów i studjów o subtelnym, pastelowym kolorycie, o pełnych tajemniczości i poezji, delikatnych, miękkich konturach.

Obok kwiatów i pejzażu — Stroński nie zaniedbuje portretu i w tej dziedzinie stwarza szereg kapitalnych dzieł. Tyle w nich charakteru, każdy odmienny w zależności od modelu, czy to będzie miękki i łagodny portret młodego chłopca, czy zdecydowany i surowy, a poważny i pełen siły portret mężczyzny, wreszcie prześliczne portrety pań. Mało ich niestety widzimy na wystawach, większa część portretów jest ozdobą prywanych galeryj i salonów, szczególnie kresowej arystokracji i ziemiaństwa w Małopolsce Wschodniej.

Poza portretami należy zwrócić uwagę na galerję stworzonych typów; wszak cały sezon poświęcił Stroński studjowaniu typów rybackich na naszym Helu, a dwa lata poprzednio studjowaniu typów Dalmacji i Włoch, skąd pochodzi kilkadziesiąt znakomitych prac.

Należy również wspomnieć o zainteresowaniach Strońskiego morzem. Maluje on nie tylko błękitno niebieskie morza południowe, ale burzliwy ciemno granatowy Bałtyk polski, z zachmurzonym widnokręgiem, z pochylonemi porywem wiatru, skarłowaciałemi sosnami naszego półwyspu, z charakterystycznemi czerwonemi domkami rybaków helskich. Urządzona swego czasu we Lwowie wystawa marynistyczna artysty miała duży sukces.

Szkoła profesora Parraina w Paryżu również wydała owoce. Mało kto wie, że freski treści historycznej, zdobiące wnętrze dworca kolejowego w Przemyślu, to rezultat wielomiesięcznej, żmudnej pracy Marjana Strońskiego.

Nie można przemilczeć o wielkim dziale twórczości Strońskiego, o malarstwie kościelnem, restauracji kościołów i zabytków. W tej dziedzinie Stroński, który zwiedził tyle zabytków kościelnych we Włoszech, Francji, Niemczech i Austrji — jest znakomitym znawcą i członkiem rady konserwacji zabytków miasta Przemyśla, oraz stałym wykonawcą zleceń takiejże rady miasta Lwowa.

Stąd też wielkie jego umiłowanie religijnych tematów. Barwne, monumentalne polichromje Strońskiego w licznych starych kościołach diecezji lwowskiej i tarnopolskiej zaliczają znawcy do najkapitalniejszych w polskiem malarstwie religijnem.

Zdawaćby się mogło, że ta cała litanja nie dzieł, ale rodzajów zainteresowań malarskich wyczerpała wszystko, a przecież nie można pominąć jeszcze jednego działu, opanowanego mistrzowsko przez Strońskiego: miedziorytu. Pomijając szereg nadzwyczaj udanych miedziorytów — zajmijmy się teką miasta Przemyśla, w której Stroński umieścił najpiękniejsze architektoniczne zabytki swego rodzinnego miasta.



Baszta zamku przemyskiego.



Na lewo: Domek przy ulicy Grodzkiej w Przemyślu.

A więc stare katedry przemyskie, wieża ratuszowa, rynek przemyski i tyle innych fragmentów, przenoszą nas w przeszłość tego prastarego grodu polskiego. Stroński ma specjalny talent do pokreślenia nastroju starych murów i wydobywania patyny starości, która ten nastrój stwarza.

W kraju Stroński urządzał dotąd wystawy we Lwowie, Warszawie i dwa razy w Katowicach. Obecnie zamierza urządzić większą wystawę w Krakowie, a w krótkim czasie przenosi się na stały pobyt do Warszawy.

Stefan Łoś.

SATYRA I-EJ KLASY

Sportowy wojewoda w wytwornym smokingu
Bardzo lubił się bawić na całego w dancingu;
Raz go winko zemgliło i gdy przyszedł do siebie
Po tej całej zabawie, już świtało na niebie...

A gdy przyszedł do siebie, to doszły go słuchy,
Że już nie jest wojewodą — bo się działy rozruchy...
Stąd jednak się morał, że tak powiem, wywodzi:
Kto do siebie przychodzi, ten sam sobie szkodzi...

Mądrej głowie, dość dwie słowie! Każdy wie, o kogo chodzi. Ta zwrotka to tylko drobna próbka wyśmienitego humoru i szalenie ostrej satyry politycznej, jaką uraczył Warszawę, a właściwie cały kraj (bo z całego kraju naród się zjeżdża do „Cyrulika") Fryderyk Jàrossy do spółki z Hemarem i Tuwimem. Ci dwaj ostatni napisali podczas letnich miesięcy sztukę sceniczną, do której zużyli jako temat: wznowione po latach inspekcje premjera, nieprawdopodobne powodzenie Kiepury w Warszawie i kilka ciekawszych wydarzeń wewnętrzno-politycznych, od których głośno było w całym kraju. „Karjera Alfa Omegi" to nic innego, jak pokazana w krzywem zwierciedle satyry błyskawiczna i lśniąca karjera Jana Kiepury. Złośliwi autorzy nie zostawili na nim suchej nitki, tak samo zresztą, jak na premjerze ekscelencji, z którego dworują sobie w taki np. sposób:

Pan premjer codziennie jest w innym urzędzie;
Tu bada, tam sprawdza, rozgląda się wszędzie,
Tu leci, tam jedzie i wszędzie zaziera
I niema go tylko... w gabinecie premjera.
Stąd morał się bardzo ciekawy wywodzi:
Kto wszędzie przychodzi... ten wie o co chodzi.

Ale to jeszcze nie jest najzłośliwsze. Kapitalna jest scena, kiedy premjer wobec swego adjutanta biedzi się nad nowem hasłem dla narodu, albo kiedy, widząc, jak tłumy ciągną za mistrzem Janem, potajemnie uczy się... śpiewać! W tej scenie jest też jeszcze jeden „rodzynek". Pan premjer, przeglądając sprawy do załatwienia dowiaduje się, że „pan senator Olkowski przysłał księgi handlowe swoich przedsiębiorstw do prewencyjnej kontroli, gdyż w przyszłym tygodniu zamierza zaprosić parę osób na herbatkę!"



Powyżej; Dymsza i Brochwiczówna w wodewilu „Karjera Alfa Omegi".



Powyżej: Jedna z najlepszych scen „Karjery", w której Dymsza jako Alf Omega uczy premjera (Olszę) jak porywać tłumy.



Poniżej: M. Znicz stworzył kapitalną kreację jako impresarjo Blum.

Na mistrzu Janie — Hemar z Tuwimem nie zostawili, jak zaznaczyliśmy, suchej nitki. W 20 obrazach pokazali jak Alf Omega z urzędniczka „Państwowego Urzędu Obserwacji Lotu Ptaków", dzięki zbawiennej inspekcji premjera, wylany z posady, robi zawrotną karjerę, do tego stopnia, że tłumy za nim szaleją i że... tu oczywiście autorów poniosła zbyt złośliwa fantazja — staje się wodzem nowej organizacji politycznej, „führerem", można powiedzieć, granatowych koszul.

Świetna jest zabawa w „Cyruliku". Szkoda, że Kiepura tego nie widział, bo premjer napewno był na tem przedstawieniu i napewno serdecznie się ubawił. Potwierdzenia tej wiadomości, niestety, brak!

Zabawa jest pyszna! Cały zespół z Dymszą, Zniczem, Brochwiczówną i Górską Stefcią na czele, wyreżyserowany przez Jàrossego, gra bez zarzutu. W tej chwili jest to bodajże jedyne w stolicy przedstawienie, które od 6 tygodni gromadzi co wieczór publiczność stołeczną i prowincjonalną, dając przez dwie godziny iście szampańską zabawę. Słusznie zaznaczył Boy w swej recenzji, że kto wie, czy do końca sezonu będziemy w tym teatrze na drugiej premierze. Zdaje się, że „Karjera Alfa Omegi" wypełni sezon od początku do końca.

B. Si.

Pierścień Wiecznej Młodości

W. DE RICHE — **NOWELA**

I

Przystanęliśmy przed niewielkim grobowcem z piaskowca, skrytym w cieniu brzóz i prawie niewidocznym w gęstwinie otaczających go krzaków. Na szarym kamieniu ciosowym w kształcie wydłużonego czworoboku stał krzyż żelazny z figurą umęczonego Zbawiciela, a poniżej, w okolu trawnika, widniała płyta z czarnego marmuru. Nachyliłem się i przeczytałem wyryty na niej napis:

HERMINA ŻOŁAWA
Urodzona 23-go września 1795 r.
Zmarła 11-go listopada 1921 r.
w Krakowie.
Módlcie się za jej duszę!

— Miałem słuszność — szepnął mój towarzysz. — Zmarła w sto dwudziestym szóstym roku życia. I zapewne przeżyłaby nas wszystkich, gdyby nie jej ostatnia tragedja sercowa.

— Żartujesz — rzekłem. — Jeślibym nawet uwierzył faktom oczywistym i przyjął że można doczekać sie tak sędziwego wieku, to myśl o miłości przeszło stuletniej staruszki wydawałaby mi się śmieszną!

— Muszę sprostować twe słowa — wtrącił mj przewodnik, uśmiechając się pobłażliwie. Określenie staruszka jest w danym wypadku zupełnie nie na miejscu. Zmarła zeszła z tego świata w pełni sił i krasy wskutek tajemniczej choroby, która zmogła ją i zabiła w ciągu zaledwie kilku dni... Aż do ostatnich czasów budziła podziw swą pięknością i wdziękiem. To też stwierdzenie jej wieku po nagłym zgonie było prawdziwą niespodzianką dla całego otoczenia.

— Żartujesz — powtórzyłem. — Starzenie się nie polega wyłącznie na zmianie zewnętrznego wyglądu. Cały ustrój zużywa się i wyczerpuje. Czynności fizjologiczne ulegają upośledzeniu, zmysły tępieją..

— Otóż to! — przerwał mi wymownym gestem. — Jeśli mam wierzyć naocznym świadkom, kobieta ta, jeszcze na krótki czas przed zgonem, była uosobieniem piękna i świeżości. Działała na mężczyzn, jak wino... Ale miłość jej nie przynosiła ludziom szczęścia. Prawdę mówiąc, wróciła do Krakowa dopiero na rok przed śmiercią, jakby dla odegrania ostatniego dramatu. Na długie lata przedtem, w Paryżu, w Rzymie i na drugiej półkuli, wiodła życie bardzo swobodne... Słyszałeś zapewne o Jasnowłosej z Borgio, bohaterce smutnej afery w rodzinie Spada? To była ona. Słyszałeś też może o hr. Monti, kochance późniejszego Napoleona III. To była ona. W 1868 r., jako niedoszła ks. Chambord, w 1885 r. jako słynna tancerka Astrea Vivaldi, a u schyłku ubiegłego stulecia, jako tajemnicza baronowa de Veles, wplątana w ponurą sprawę szpiegowską, której ofiarą padł młody kapitan francuskiego sztabu generalnego de Miracourt i trzech młodszych oficerów — budziła powszechną sensację. Wszystkie te kobiety, nawpół awanturnice, a nawpół ofiary własnej namiętności, to tylko różne odmiany wiecznie młodej i wiecznie żądnej wrażeń Herminy... Demon miłości! Mógłbym powiedzieć coś o tem!

— Syn mój zginął przez nią — dodał po chwili, odpowiadając, jakby na zapytanie. — I jeśli mogę wierzyć, ona zginęła przez niego...

Spojrzałem na bladą twarz mego towarzysza, a potem na płytę grobową u naszych stóp. Czyżby to było możliwe? Historja wspomina wprawdzie o kobietach, które zachowały wdzięk i urodę do późnego wieku, ale nie były to w każdym razie stuletnie staruszki.

— Twój syn? — szepnąłem. — Nie wiedziałem o tem. I mówisz, że ona żyła sto dwadzieścia sześć lat? Że była piękna i powabna? Są to przecież rzeczy nie do pojęcia.

Pociągnął mnie w stronę ławeczki, stojącej na skrzyżowaniu chodników. Usiedliśmy.

Grób ten kryje tajemnicę młodości i piękności kobiety, która w rodzinie naszej odegrała również rolę demona. Z listu mego syna, napisanego na kilka godzin przed śmiercią, dowiedziałem się jednak ciekawych szczegółów, które rzucają pewne światło na tę trudną do rozwiązania zagadkę.

Zadumał się nad gałką laski.

— Czy słyszałeś coś o sławnem Oleum Veneris? — zapytał po chwili. — Płynie miłości i życia, budzącym w sercu miłosne żądze i dającym wieczną młodość? Płynie, którego sekret znała zaledwie garstka wybranych i który od śmierci hrabiego Saint Germain stał się tylko wspomnieniem?

— Bajki romansopisarzy! — rzekłem. — Opowieści, przemawiające do wyobraźni naiwnych! Nie sądzisz chyba, abym uwierzył...

— Nie wydaję żadnych sądów — przerwał mi. — Wspominałem jednak o liście mego syna... liście, który uważam za jego przedśmiertną spowiedź. Jeśli chcesz, podam ci jego treść i zapytam później o zdanie...

Nachylił się, kreśląc laską na piasku jakieś fantastyczne cyfry. Nie przerywałem milczenia, widząc, że przygotowuje się do dłuższego opowiadania. Podniósł głowę i westchnął.

— Musimy przenieść się pamięcią w przeszłość... — rzekł

II.

Przez wąskie, osadzone w grubych murach, okno przenikało w głąb pokoiku, urządzonego z wielkim smakiem i wytwornością, mdłe światło ponurego dnia listopadowego. — Zmierzch zapadał i do stóp siedzących przy stoliku dwóch osób pełzały cienie wieczoru. Piękna i powabna blondyna o dużych, jasnych oczach, zwróconych z wyrazem niepokoju na mężczyznę w sile wieku, o włosach zlekka przyprószonych siwizną, bawiła się machinalnie złotym pierścieniem w kształcie węża, w którego splotach osadzony był wielki topaz. Jej nerwowe ruchy i drżące nieznacznie usta świadczyły, że przysłuchuje się wywodom towarzysza z naprężoną uwagą. Od czasu do czasu pojawiał się na jej twarzy grymas niezadowolenia i wtedy zaciskała zęby, jakby chcąc powstrzymać się od wypowiedzenia słów, którychby później musiała żałować.

Mężczyzna mówił ciągle, a intonacja jego głosu zmieniała się w miarę opanowującego go coraz bardziej wzruszenia. Wpatrywał się z niekłamanym zachwytem w delikatną twarz siedzącej naprzeciw niego kobiety, której milczenie zdawało się tylko podniecać go. Gestykulował żywo, jakby chciał podkreślić znaczenie pewnych słów, które przeniknąć miały w głąb serca pięknej blondynki.

— Nie ścierpię, aby ten młokos mógł się poszczycić zwycięstwem nade mną — kończył, wzburzony, swoją przemowę. — Kocham cię od szeregu lat i cieszyłem się twymi względami. Wszystko, co mi było drogie na ziemi, złożyłem u twoich stóp... Potrafiłaś to ocenić i dałaś mi chwile, nad które nie znałem szczęśliwszych... Dziś, kiedy między nami stanął ten człowiek...

— Postanowiłeś go zabić — rzekła zimno. — Wczorajsze zajście było zwyczajną prowokacją! Wiedziałeś, że przyjdzie do pojedynku, w którym będziesz miał przewagę. Bohater!

Podniósł głowę i na twarz jego wystąpił rumieniec.

— Wyzwał mnie. Muszę się bronić — rzekł.

— Kłamiesz! — zawołała kobieta, podnosząc głos, a oczy jej zabłysły groźnie. — Podeszłeś go i chcesz skorzystać ze sposobności. Wiem, że ten pojedynek będzie zwyczajnem morderstwem.

— Narażam życie, jak on — bronił się mężczyzna. — Los rozstrzygnie, do kogo będziesz należeć.

Twarz kobiety pobladła.

— Głupcze! — syknęła przez zęby. — Sądzisz, że zgodzę się na to, abym przypadła w ofierze zwycięzcy, jak każda bezwolna samica? Nie dopuszczę do rozlewu krwi. Jeśli przyjdzie do spotkania, jeśli Henrykowi spadnie chociaż włos z głowy...

— Nie groź mi, Hermino! — rzekł mężczyzna. — Może cię to drogo kosztować. Poświęciłem ci szczęście rodzinne, stanowisko i majątek. Stałem się przez ciebie bezdomnym włóczęgą. Ale pozostało mi to jedno tylko... honor... Obraził mnie i musi zginąć.

Spojrzała na jego wzburzoną twarz, zaciśnięte wargi i drżące ręce. W oczach jego wyczytała taką nienawiść i taki bezwzględny upór, że serce zamarło w jej piersiach z przerażenia. Ale musiała za wszelką cenę ratować tego, który był przedmiotem gniewu jej dawnego przyjaciela. Biedny Henryk! Pokochał ją całą duszą, dał jej w szczerem i bezinteresownem uczuciu złudzenie — nie, pewność — szczęścia, o którem zawsze śniła; stworzył w kręgu zaklęć i przysiąg miłosnych świat marzeń, które wydały się jej rzeczywistością i bez których teraz życie jej byłoby mdłem i bezwartościowem. W czarnych jego oczach czytała ufność i miłość bez granic, a czując na sobie spojrzenie młodzieńca, zapominała o przeszłości, która jak zmora nękała ją wspomnieniem ludzi, przeklinających ją, jak szatana. Nieszczęściem była dla tylu mężczyzn, którzy starali się daremnie rozniecić w jej sercu iskrę uczucia. Płaciła szyderstwem za miłość i poświęcenie, odrzucała, jak zużyty łachman zrozpaczonych wielbicieli; była w ciągu tych długich lat tylko samicą. On jeden dokonał cudu, nauczył ją kochać wówczas, kiedy zwątpiła już we wszystko. Stał się dla niej wyrazicielem lat dziewczęcych, celem w jej życiu... I teraz chciano go jej zabrać podstępem. Człowiek, któremu dawała się kochać dla jego bogactwa i który widział w niej tylko drogo kupioną lalkę, występował dziś, jako wróg otwarty i w imię urażonej ambicji, w imię dziwnie pojętego honoru, godził na życie jej umiłowanego. Wykorzystał pierwszą sposobność, sprowokował zapalnego młodzieńca i teraz domagał się satysfakcji za obrazę. Zbyt dobrze znała charakter barona Dietricha, aby łudzić się i wierzyć w szczerość jego słów. Liczył, że zabije w pojedynku niewygodnego młokosa, da jej nauczkę i stanie się znowu panem sytuacji. Przeniknął ją dreszcz zgrozy. Nie! Nie mogła i nie chciała wrócić do dawnego życia, być znowu igraszką w ręku niekochanego mężczyzny! Należało zapobiec za wszelką cenę nieszczęściu i nie dopuścić do pojedynku!

— Igrasz z ogniem — rzekła, próbując kłamać. — Nie kocham Henryka Dołęgi i niepotrzebnie jesteś o niego zazdrosny. Nie chcę jednak, żeby biedny chłopiec złapał się w twoje sidła. Nie chcę, aby przeze mnie przyszło znowu do rozlewu krwi.

Baron Dietrich spojrzał na nią z pod oka.

— Szkoda słów — rzekł. — Nie pozwolę się bezkarnie obrażać.

Zdawała sobie sprawę, że wszystkie jej prośby będą daremne, że tą drogą celu nie osiągnie. Przez chwilę była bliska rozpaczy, a potem w głębi jej duszy zbudziła się znowu nadzieja. W głowie Herminy panował istny chaos, ale teraz wyłoniła się z niego myśl, myśl zbawcza. Instynkt ostrzegał kobietę, że waży się na wielką grę i kładzie na szali całą swoją przyszłość, ale serce domagało się zdecydowania się na nią mimo wszystko.

— A gdybym powiedziała ci... — rzekła po chwili namysłu — że miłość twoja dla mnie może cię ośmieszyć. Jeśli wyjdą na jaw pewne szczegóły, które dotąd trzymałam w ukryciu, jeśli ludzie dowiedzą się, kim jestem...

— Ludzie wiedzą o tobie aż za dużo — przerwał jej szorstkim tonem Dietrich — i pogodzili się z tem już dawno.

— Mylisz się — odparła zimno kobieta. — I zaraz ci to udowodnię. Znamy się od lat ośmiu. Od ośmiu lat jesteś moim oficjalnym kochankiem i opiekunem. Przyznaję, że zrobiłeś dla mnie dużo... może więcej, niż inni mężczyźni... Nie zrobiłeś jednak tego z miłości. Pochlebiało ci i pochlebia, że masz do mnie pewne prawo... prawo kupca do nabytego przedmiotu. — Uśmiechnęła się z ironją, a w oczach jej pojawiły się groźne ogniki. — Nie sądź jednak, że upoważniłam cię do żądania ode mnie uczucia. Byłam lojalną kochanką. To wszystko. Ale mam już dość takiego życia. Chcę być panią swej woli...

— Będziesz nią... potem — rzekł baron, z trudem opanowując wzburzenie. — Nie jesteś moją zabawką, ale i ja nie chcę być igraszką w twoich rękach... Przypomnij sobie tę noc z przed ośmiu lat, kiedy błagałaś mnie, abym zabrał cię z sobą do Hiszpanji. Nie ostygł jeszcze trup biednego Rogera de Corville, który zastrzelił się w twoim buduarze, a byłem już zdecydowany. Ta ucieczka z Nicei związała cię ze mną na śmierć i życie, wiesz bowiem, ile trudu kosztowało mnie zatarcie śladów i wmówienie we wszystkich, że piękna Dolores de Mervine, królowa półświatka, utopiła się na wycieczce. Wówczas umiałaś to ocenić. Ja jeden poznałem twoje prawdziwe nazwisko.. Mnie jednemu powiedziałaś, że jesteś Polką... Mnie jednemu dochowałaś wiary..

— Byłam lojalną kochanką — powtórzyła kobieta. — To prawda, ty jeden wiesz, że Hermina Żoława jest osławioną pięknością, która pod nazwiskiem Dolores de Mervine prowadziła wesołe życie na Riwierze w gronie złotej młodzieży. Przyznaję, że wybawiłeś mnie z wielkiego niebezpieczeństwa i że nigdy ci tego nie zapomnę. Ale na tem koniec. Nie chcę, aby przyszło znowu do rozlewu krwi przeze mnie. Pamiętam jeszcze szeroko otwarte oczy Rogera, który umarł, ponieważ nie brałam poważnie jego zaklęć i przysiąg miłosnych...

Przerwała na chwilę, jakby zabrakło jej w piersi oddechu. Potem zwróciła się do towarzysza, już zdecydowana:

— Mylisz się, twierdząc, że znasz mnie lepiej, niż inni. Znasz tylko ostatnie osiem lat mego życia. A gdybym ci powiedziała, że w życiu mojem jest tajemnica... Gdybym ci wyznała to, o czem nikomu nawet się nie śniło?...

Spojrzał na nią, zdumiony.

— Wspomniałaś o ośmieszeniu mnie — rzekł. — Nie rozumiem, co masz na myśli?

Zerwała się nagle z krzesła i chwyciła za rękę barona Dietricha.

— Podziwiasz moją piękność — rzekła. — Pochlebia ci to, że twoja kochanka budzi powszechny zachwyt. Wiedz jednak, że kochasz przeszło stuletnią staruszkę, której uroda jest tylko złudzeniem, a urok młodości zwyczajnem kłamstwem!

Nie zwracając uwagi na jego zdumienie, podeszła do biureczka mahoniowego, stojącego w kącie pokoju. Kilkoma szybkimi ruchami otworzyła skrytkę w bocznej szufladzie i wyjęła z niej kilka paczek listów. Kiedy rozerwała wiążące je sznurki, na biurko posypał się szereg pożółkłych kart, pokrytych wyblakłem pismem.

— Porównaj daty, baronie! — rzekła, dając znak Dietrichowi, aby podszedł bliżej. — To pamiątki z lat mej młodości, z czasów Wolnego Miasta Krakowa... Listy mojego pierwszego narzeczonego Witolda Darskiego. Biedak umarł na chorobę piersiową w Stanisławowie... A te, z r. 1823, to listy kapitana Derwicza... Rozeszłam się z nim wskutek intryg rodziny... O ile pomnę, zginął w kilka lat później pod Grochowem... A te, popatrz! Te pisał szambelan dworu cesarskiego Poldini... Noszą datę 1829 i dostałam je z Wiednia... Czy mam ci pokazać więcej?

Przerzucał nerwowymi palcami sztywne, jak pergamin kartki, z których przemawiały słowa pełne tkliwości. Listy miłosne z przed wieku prawie! Najdroższa Hermino! Moja ukochana Mi! Liebe Mina! Czyżby kobieta, określana tymi nagłówkami, była naprawdę tą samą Herminą Żoława, która stała w tej chwili przed nim w pełni urody i wdzięków?

— Jakże to możliwe? — wyszeptał, nie mogąc oderwać oczu od pożółkłych kart

Ujęła go za rękę i pociągnęła w stronę okna. Usiedli.

— Jestem stara, bardzo stara — rzekła. — A piękność moja i pozory świeżości są darem człowieka, którego nie znałam, który mnie nigdy nie widział i który umarł trzysta lat temu.

Podniosła w górę rękę, na której błysnął wspaniały pierścień z topazem.

To pierścień doktora Fausta — rzekła — ofiarowany mojej praprababce Gryzeldzie Żoława w czasie jego pobytu w Krakowie. Pierścień wiecznej młodości, gdyż zawiera dziś jeszcze kilkanaście kropel płynu, dającego młodość i urodę.

Poczęła mówić szybko, nie dając mu otrząsnąć się z wrażenia.

— Pamiątkę tę przechowywano w rodzinie naszej wieki całe wraz z dokumentem, tłumaczącym jego pochodzenie. Nie rozumiem, jak mogła przetrwać do naszych czasów. Zdaje się, że przywiązana była do niej jakaś legenda, nakazująca pieczołowitą opiekę nad tym klejnotem, który stał się podobno przyczyną tragicznej śmierci mej prababki. Dokument, o którym wspomniałam, nie istnieje już. Zniszczyłam go przed laty, kiedy stałam się panią tajemnicy. Wiedz bowiem, że ja słaba kobieta... ostatnia z rodu... ja jedna odważyłam się na zgłębienie tradycji odnoszącej się do zabytkowego pierścienia. I wyprowadziłam wnioski z stwierdzającego jego tożsamość dokumentu...

— A cóż mówiło owe pismo? — zapytał Dietrich z odcieniem sceptycyzmu.

— Dokument — odpowiedziała — zawierał tylko wskazówki, odnoszące się do sposobu zażywania eliksiru wiecznej młodości, sporządzonego w alchemicznem laboratorjum O. O. Dominikanów w Krakowie. Nosił podpisy przeora Rufiusa, jednego z następców słynnego Koffskiego i Jana Fausta, który widocznie pracował przez pewien czas razem z nim. Przekładu jednego, czy dwóch zdań w języku łacińskim dokonał jeszcze mój dziadek i treść ich była mi już dawno znaną, jak i sposób otwierania pierścienia, zawierającego tajemniczy płyn. Pierścień — mówiła dalej kobieta — przechowywano w naszej rodzinie, jako talizman. Nikt nie otwierał go i nikt nie kosztował szacownego płynu. A jednak pięć kropel eliksiru zapewniało młodość i piękność na okres pięćdziesięciu lat. Dopiero ja pierwsza zdobyłam się

Ciąg dalszy na str. 14-ej

STARY PARYŻ.
Oto jeden z uroczych zaułków Paryża, do których nie dociera wielkomiejski gwar. *Fot. Dr. P. Wolff—Wiedeń.*


Le Vieux

Ciąg dalszy ze str. 12-ej.

na odwagę. Uśmiechasz się z niedowierzaniem... Nie będę cię przekonywała, wiedz jednak, że dwukrotne użycie eliksiru zapewniło mi możność korzystania z wszelkich radości życia...

Spoglądał na nią wciąż dziwnym wzrokiem. Jego spokój i zimna krew wróżyły przegraną w tej niezwykłej walce o życie kochanka. Czując, że kilka minut może zadecydować o wyniku, zerwała się z krzesła i podbiegłszy do szafy, otworzyła ją. Drżącemi palcami zaczęła wyjmować ukrytą w głębi biżuterję. Przed oczyma barona Dietricha zabłysły złote pierścionki, wspaniałe zausznice, kosztowne broszki i naszyjniki, przyozdobione drogimi kamieniami. Kształt ich i sposób wykonania świadczył, że pochodzą z rozmaitych epok i krajów.

— Oto podarki moich dawnych kochanków — zawołała z patosem. Kupowano nimi miłość hrabiny Monti, pięknej Vivaldi, baronowej de Veles, Olimpii Dario i tylu innych kobiet, które były tylko Herminą Żóławą... Kupowano prawie przez wiek cały, płacąc za to, że sobie wiadomymi środkami umiała ukryć przed światem swoją starość. Jestem bowiem staruszką, baronie. Staruszką! Mam lat sto-dwadzieścia-sześć!

Roześmiała się na głos i, spoglądając na Dietricha płonącemi oczyma, mówiła dalej:

— Kochasz mnie, ale boisz się śmieszności. Wieść, że jesteś wielbicielem sędziwej matrony, która powodzenie swe zawdzięcza tylko środkom toaletowym, ośmieszy cię jednak, mój drogi. A ja nie zawaham się przedstawić nawet metryki urodzin, jeśli... nie wyrzekniesz się myśli o tym pojedynku.

Próbował żartować, gdyż widok tej czarującej kobiety był zaprzeczeniem jej słów.

— Jesteś w takim razie najpiękniejszą na świecie staruszką — rzekł. — Nie wyrzeknę się ciebie, a tego chłystka... usunę!

Była już bliska rozpaczy i, zapominając o koniecznej ostrożności, zaczęła znów prosić i nalegać. Traciła z każdą chwilą pewność siebie i była już tylko bezbronną, bezsilną kobietą, która drżała o życie ukochanego. Wkońcu widząc, że nie wzruszy tego zimnego samoluba, zdobyła się na groźbę ostateczną:

— Jesteś podły! — zawołała. — Poświęcasz mnie i jego dla swej dumy. Wiedz jednak, że jeśli zginie... stracisz i mnie na zawsze.

Podniosła w górę jeszcze raz pierścień z wielkim topazem.

— Patrz! — zawołała. — Pierścień ten rozstrzygnie o śmierci mojej, jak rozstrzygnął o latach moich triumfów. Jeśli dziś, jutro lub pojutrze nie zdecyduję się znów na skosztowanie eliksiru, czar jego działać przestanie, gdyż w tych dniach mija drugie pięćdziesiąt lat od chwili, jak piłam go po raz ostatni. A klnę się na wszystkie świętości, że nic nie skłoni mnie do przedłużania życia, gdy Henryk zginie!...

— — — — — — — — — — —

— Hermina Żoława zmarła w cztery dni po śmierci mego syna, który padł w pojedynku — kończył mój towarzysz. — O pierścieniu doktora Fausta dowiedziałem się z przedśmiertnego listu biednego Henryka. Wnoszę, że tajemnica pięknej Herminy była mu znaną oddawna i że wierzył święcie w prawdziwość podanych przez nią szczegółów...

— A pan? — zapytałem. — Co pan o tem sądzi?

Wzruszył ramionami.

— Widzę tylko kamień grobowy i wyryte na nim daty — rzekł. Autentyczności znalezionego świadectwa urodzin zmarłej nikt nie podawał w wątpliwość, nawet najbliżsi krewni barona Dietricha, który uciekł zagranicę... O pobycie doktora Fausta w Krakowie mówią dzieje. Legenda głosi, że należał on do nielicznych wtajemniczonych, którym udało się rozwiązać zagadkę eliksiru życia i przekazać ją kilku adeptom. Być może, że jedna z Żoławów otrzymała od niego w podarunku pewną ilość bezcennego płynu w dowód wdzięczności, a może miłości... Któż to może wiedzieć?...

— A pierścień? — zapytałem.

— Pierścień przepadł bez śladu — rzekł. — Może zniszczyła go sama Hermina? To pewne, że przed śmiercią spaliła większą część listów... Ale klejnoty ocalały. Zapisała je naszej rodzinie, jakby w ofierze przebłagalnej za śmierć biednego mego syna. To ciekawy zbiór antyków...

Spojrzał na chylące się ku zachodowi słońce i ruchem nerwowym zapiął paltot. Liście brzóz ocieniających grób na ustroni zaszemrały z cicha, a korony drzew pochyliły się nad nim, jakby w zadumie. Wstaliśmy z ławki i zaczęli iść wolnym krokiem w stronę bramy...

Bezcenny gobelin dla Muzeum Narodowego w Warszawie.

Powstające w epoce powojennej muzea europejskie walczyć muszą nierówną bronią z amerykańskiemi, posaidającemi doskonale zorganizowaną sieć ajentów antykwarskich, wyławiających z europejskiego rynku najcenniejsze skarby sztuki, bez względu na cenę.

Warszawskie Muzeum Narodowe, powstające dla celów reprezentacyjnych w stolicy państwa, nie posiada środków, umożliwiających nietylko nabywanie znakomitych zabytków sztuki obcej, ale co gorsze na ratowanie ginących arcydzieł polskiej sztuki. Wypadki szlachetnej ofiarności obywatelskiej na rzecz muzeów, zdarzają się rzadko. to też z wielką radością notujemy fakt, iż znalazła się hojna ofiarodawczyni, baronowa Marja Róża Taube 1-o Karolowa hr. Zamoyska, córka jednego z zasłużonych twórców polskiego przemysłu w epoce steinkellerowskiej br. Leopolda Kronenberga, która ofiarowała Muzeum Narodowemu gobelin francuski oceniony na pół miljona franków.

Jest to dzieło, pochodzące z połowy XVIII wieku, wykonane przez wytwórnię królewską w Paryżu, pod kierunkiem Le Blond'a, według kartonu F. Deporte'a. Gobelin doskonale zachowany, o barwach żywych i subtelnej tonacji należy do słynnej serji indyjskich tematów F. Deporte'a. Przepiękne to dzieło, które powyżej reprodukujemy po raz pierwszy w Polsce, jest dużych rozmiarów i przedstawia scenę wschodnią z wielbłądami. Kompozycja ozdobiona jest szeroką bordiurą o charakterystycznym dla epoki ornamencie.

Jest to trzeci zkolei dar bar. Taube która przed kilku laty ofiarowała już dla zbiorów zamku królewskiego w Warszawie, dwa piękne arrasy flamandzkie, pochodzące z wieku XVII.

mdd.



POD PEŁNEMI ŻAGLAMI



Na lewo: Sylwetka „Zawiszy Czarnego" w pogodną noc.

Poniżej: Ćwiczenia na masztach.



Jeszcze Gdynia błyska zdala słabemi światłami, w jakiś czas potem jedynie latarnia Rozewia daje znać, że tam gdzieś z tyłu drzemie jeszcze cichutko polski brzeg, a wreszcie i to znika — pozostaje ciemność. Na jaśniejszem nieco tle nieba czernią się smukłe maszty, na rufie (tył statku) widoczna słabo oświetlona twarz sternika, który z oczyma utkwionemi w kompas okrętowy, spokojnie wybiera (obraca kołem sterowem) od czasu do czasu szprychy koła sterowego. Wiatru niema, słychać delikatny plusk fali, a w głębi statku stłumiony łoskot silnika. Cisza morska... Na tle pokładu przesuwają się jedynie ledwie dostrzegalne cienie — to wachta czuwa. Tak mija noc...

Ranek wita nas świeżym podmuchem wiatru, który rośnie z każdą chwilą. Motor milknie, na masztach wykwitają jeden po drugim białe płaty żagli — szkuner-jacht „Zawisza Czarny" sunie w zupełniej ciszy jak mewa z rozpostartemi skrzydłami.

Wielki 350-tonowy „Zawisza" wcale nie jest czarny, lecz śnieżno-biały. Dowodzi nim stary wilk morski, pionier żeglarstwa polskiego, gen. Marjusz Zaruski.

Mamy kurs na północno-północny zachód na Karlskrone, bazę szwedzkiej marynarki wojennej i nie mijają 2 dni, a już opuszczają się na nasze powitanie do połowy masztów bandery szwedzkiej szkoły żeglarskiej. To 4 wielkie pełnomorskie jachty „Swenska Seglarskolan" wypłynęły z portu na nasze powitanie.

Gościnnie przyjął nas brzeg szwedzki — na wzajemnych wizytach i zwiedzaniu mija 3 dni; zapewniani o serdecznej przyjaźni ze strony Szwedów, wypływamy, kierując się na Visbi na Gotlandzie.

Wprawdzie pogoda jest burzliwa, lecz „Zawisza" pod wodzą starego „wilka" śmiało pruje sine wody Bałtyku. Rannym i wieczornym pieśniom modlitwy wtóruje ryk morza i wycie wichru w olinowaniu. Codzień rano załoga w zwartym szyku, uformowana na pokładzie, oddaje honor wciąganej na szczyt masztu polskiej banderze.

Visbi, to cudne stare miasto ruin i róż, gości nas u siebie 2 dni, poczem trasa nasza idzie do Heapalu w Estonji, gdzie mamy brać udział w estońskim zlocie skautowym.

Przy wyjściu z portu Visbi morze było spokojne, wiatr południowy, słaba zaledwie bryza (wiatr) tu i tam znaczyła pianą grzbiety fal; nic nie zdawało się wróżyć wielkich zmian atmosferycznych. Powoli, jak Visbi nikło gdzieś za horyzontem, zaczął zacinać lekki kapuśniaczek, potem większy deszcz, wiatr wzrastał w sile z każdą godziną, pędząc nas z szybkością 8 węzłów (około 15 km/godz.). Z nadejściem nocy „Zawisza" tańczył jak pijany, kładąc się z jednej burty na drugą. Noc jednak przeszła bez większych zmian. Wiatr rósł wolno, ale systematycznie i rano byliśmy świadkami niespotykanej wprost pogody. Nad dumnie na górach wodnych pieniącemi się, białemi grzywami pian, przecudny błękit ze słońcem rozsypującym szczodrze wokoło kaskady złota.

Zaroiło się na pokładzie od fotografów. Staliśmy pochłaniając oczyma grę cudownych barw, mieniących się w rozpylonych kropelkach wody.

W tej to chwili mija nas potężny motorowiec o przepięknej linji. Na pokładzie „Zawiszy" ogólne poruszenie; serca nam biją!... Na maszcie powiewa flaga polska. Trójmasztowy szkuner i m/s „Batory" wymieniają ukłony.

Niedługo jednak niknie za rufą smukła sylwetka „Batorego", niebo mętnieje, zasnuwa się chmurami, wiatr zmienia się w wyjącą i szalejącą wichurę; stało się ciemno i ponuro, mknęliśmy z szybkością 11 węzłów.

Morze to z ponurą groźbą, potężną górą wodną wyrasta wysoko nad pokładem, to znów kornie chyli czoła i zapada się pod szkunerem w głęboką bróździe. Statek kładzie się naprzemian na jednym i na drugim boku, maszty zataczają szalone koła. Mimo woli nasuwa się pytanie: jak się to dzieje, że powstajemy znowu i pędzimy dalej? Niebo zdało się mieszać z morzem, powstał chaos jakgdyby dno piekieł się otwarło. — Zlewani wodą, z błyskawiczną szybkością wykonujemy podawane przez tubę rozkazy generała, który stojąc na swym mostku panuje nad wszystkiem z zimną krwią i spokojem.

Szalony ten taniec trwał do nocy; wreszcie estońska wyspa Degö dała nam schronienie — zarzuciwszy kotwicę, kołysaliśmy się bezpieczni, zasłonięci od wzburzonych żywiołów.

W rejsie naszym zkolei witał nas Hoapsal w Estonji, Hangö, Åbo i Helsingfors we Finlandji.

Pływanie na jachcie szkolnym to przygoda pełna romantyzmu! Niebezpieczne noce we mgle, gdy ciszę rozdziera ponury, złowrogi głos syreny... praca w czasie wichury na trzydziestokilometrowych masztach... burze i sztormy, niewygody i niedospania, to czar i urok morskiego życia. Twardnieją ręce od lin, twardnieją charaktery... A wieczorem — brać żeglarska zbiera się na dziobie, słychać mandolinę i gitarę, płyną pieśni marynarskie, pieśni polskie... A morze zda się być zasłuchane i ciekawe języka, którego wieki na swych wodach nie słyszało, bo raz po raz srebrzyste bryzgi wpadają z za burty...

Opuszczają się na powitanie bandery angielskie, szwedzkie, niemieckie, fińskie... Na tej małej pływającej cząstce naszej Ojczyzny czujemy się z Niej dumni.

Zniknęły już dawno za rufą brzegi fińskie, zniknął szwedzki Gotland, każda mila zbliża nas z powrotem do domu.

I znów noc ciemna, w dotykalnej omal czerni nie widać ani jednej gwiazdy; ale oto nagle zabłysły, jedna, druga, trzecia, blisko siebie... to latarnie Rozewia, Helu, Gdyni!

Zbigniew Mroczkowski.



Przed wyjazdem z basenu jachtowego w Gdyni.



Wysepki u wybrzeża Finlandji.

TĘTNO ŚLĄSKA

Słyszysz — jak bije serce śląskiej ziemi,
jak się w tym czarnym, naprężonym ciele
życie przelewa, kipi, wre i pieni —
jak się szamoce, bulgoce i pali
w kleszczach żelaza, betonu i stali.

A w jęku syren
w twardych garściach tłoków
w żelaznych piersiach
i żelaznych skroniach
Pęd Pracy dudni —
grzmotem siły wali
jak kilof w twardych
robotniczych dłoniach —

— Budujemy twierdzę —
bastion obronny —
Kładziemy fundament
dla nas i potomnych.

Duch twórczy Rozwoju
nasze żywi tętno —
Pomnażamy w znoju
Dobrobyt i Piękno.





Na prawo: Górnicy zdobywają krok za krokiem teren węglowy, świdrując skałę celem założenia dynamitu.

— Wznosimy budowlę —
— Pęd nasz — wrząca lawa —
a sercem gorącym
piszemy swe prawa.

Krew w nas lawą wrzącą
kłębi się i pali —
Mierzymy swe siły
hartownością stali.

Słyszysz — jak bije serce śląskiej ziemi —
jak życie tętni — kipi, wre i pieni —
jak wzrasta mocy Czyn nieustający —
jak się wybija w prężnym pulsie Polski
mocny puls Śląska — rytmem przodującym!

— Budujemy twierdzę —
bastion obronny —
Kładziemy fundament
dla nas i potomnych!

JANINA ZABIERZEWSKA.

Wiersz ten wygłoszony został w Teatrze Polskim w Katowicach na akademji, urządzonej dla uczczenia 10-lecia rządów wojewody Dra Grażyńskiego na Śląsku.





Ciemna noc spowiła warsztaty pracy Ślązaków.

SŁAWY ŚPIEWACZE SPRZED 100 LAT

Bywały świetne okresy dla życia muzycznego, kiedy bez gramofonów i radja trwało olbrzymie zapotrzebowanie na produkcję muzyczną, która przyjmowana była przez łaknącą jej publiczność z radością i oczekiwaniem. To czasy wielkiej opery paryskiej i włoskiej, czasy kompozytorów, którzy tworzyli swe dzieła przedewszystkiem dla śpiewaków, dając im w swych niezliczonych arjach olbrzymie pole do popisu. Śpiewacy dyskontowali te arje na swą korzyść, ale też wielu z nich zyskało nieśmiertelną sławę. A błyszczała wówczas na firmamencie operowym cała plejada gwiazd legendarnej wprost wielkości. Wiek cały minął — przez świat przeszedł niejeden huragan, a oto jaśnieją dotąd przed nami świetne nazwiska: Catalani, Sontag, Viardot-Garcia, Malibran, Pasta, Grisi, Melba, Manuel Garcia, Rubini, Lablache... Jednej z gwiazd poświęćmy chwilę uwagi.

Dwudziestegotrzeciego września br. minęło sto lat od tragicznej śmierci 28-letniej Marji Garcia-Malibran, której wspaniały głos czarował Europę i Amerykę przez 11 lat...

Manuel Garcia, znakomity śpiewak hiszpański, który wykształcił wielu słynnych śpiewąków w swej szkole, był artystą operowym i dyrygentem. Przeniósłszy się do Paryża, uczył śpiewu również swe dwie córki, które sławę jego nazwiska przedłużyć miały

Marja Malibran-Garcia

i dodać jej nowego blasku. Marja-Felicja (Malibran) i Paulina (Viardot-Garcia) odziedziczyły wraz z bratem Manuelem (późniejszym reformatorem sztuki wokalnej) talenty śpiewacze i muzyczne. Marja-Felicja, obdarzona wspaniałym altem o olbrzymiej skali, zabłysnęła już w 17-tym roku życia w operze nowojorskiej. Zdumienie ogarnia nas dzisiaj, jak to młode dziewczę mogło zdobyć się na tyle umiejętności i sztuki. Tajemnice domu Garciów dużoby na ten temat mogły powiedzieć. W czasie pobytu w Paryżu znany był dom, w którym ojciec Garcia maltretował poprostu swe dzieci, przygotowując je do trudnego zawodu śpiewaczki. Nieraz przechodnie chcieli interwenjować; powstrzymywała ich konsjerżka, znająca dobrze porywczego Hiszpana.

Z takiej to szkoły wyszła Marja-Felicja z cudownie postawionym głosem, maestrją godną rutynowanej śpiewaczki i ze znajomością języków: włoskiego, niemieckiego, angielskiego i francuskiego. Już wtedy nie obcą jej była dziedzina kompozycji, jak i gry na fortepianie.

Przez 10 miesięcy występowała Marja-Felicja z niesłychanem powodzeniem w Nowym Jorku, olśniewając tłumy aksamitnem brzmieniem głosu i interpretacją ról, przejmującą widzów do głębi. Ale też dziwne legendy krążyły z ust do ust. Oto np. ojciec wciąż był niezadowolony z partji Desdemony, wykonywanej przez późniejszą panią Malibran. Jednego dnia taka furja złości opanowała brutalnego Hiszpana, że oświadczył córce, iż grając z nią Otella, weźmie prawdziwy sztylet na scenę i zamorduje ją, jeżeli nie dociągnie swej gry do wymaganego przez niego poziomu. Jakież było przerażenie córki, gdy tegoż wieczoru ujrzała w ręku Otella, swego ojca, sztylet... Jej okrzyk „Por Dios no me mate"... (Na Boga, nie zabijaj mnie) miał tyle mocy i rozdzierającej trwogi, że akt zakończył się niebywałym aplauzem, nie przeczuwającej niczego publiczności.

Życie, wymagające od artystki tak silnego napięcia nerwów, zmęczyło ją wkrótce i nie zawahała się ani chwili, aby wyjść zamąż za bankiera francuskiego Eugenjusza Malibran, który okazał się potem zrujnowanym aferzystą. Pani Malibran wróciła na scenę, witana niesłychanie entuzjastycznie przez nowojorską publiczność, która jej przydała nazwę „colombe musicale" (gołąbka muzyki). Po dwóch latach wraca ona do Paryża. Występ pierwszy na cele dobroczynne zadecydował o świetnym triumfie. Opera i teatr włoski dobijały się o zaangażowanie Malibran. Związana umową na 50.000 fr. z teatrem włoskim, występowała ponadto w Anglji i Belgji, wszędzie z niesłychanem powodzeniem.

Obeznana z życiem teatralnem od dziecka, doskonale orjentowała się w zakulisowych intrygach. Kiedy pewnego razu dano jej tylko dwie pieśni w programie z inną śpiewaczką, która miała ich wykonać sześć, Malibran nie zrobiła żadnej sceny dyrektorowi, ale spokojnie oświadczyła że wystąpi i sama sobie odda sprawiedliwość. Sukces jak zawsze był nieopisany. Malibran pozostała zatem na scenie, dając znak orkiestrze aby odłożono instrumenty. Zasiadła do fortepianu i sama akompaniując sobie, zaśpiewała jakiś naddatek. Arystka i tutaj okazała się mistrzynią. Napróżno dyrektor czynił znaki za kulisami, że czas już kończyć, Malibran dodała jeszcze piosenkę hiszpańską, potem niemiecką, francuską i ciągle zmuszana do bisów zakończyła swój występ angielską romanzą. Publiczność powstała z miejsc, powiewała chusteczkami, wiwatowała na cześć niezrównanej śpiewaczki. Zdumiony dyrektor już tylko giął się w gratulacyjnych ukłonach. Malibran lekko się uśmiechnęła. przypominając obietnicę, iż sama sobie wymierzy sprawiedliwość...

W belgijskim zamku Chimay poznała Malibran słynnego skrzypka Bériot. Miłość od pierwszego wejrzenia połączyła dwoje artystów. Pani Malibran-Bériot usunęła się nawet na dłuższy czas ze sceny, dzieląc spokojne życie między obowiązki żony i matki. Jednak nie zapomniano o niej. Śpiewak Lablache zdobył znów artystkę dla tournée koncertowego we Włoszech. Tym razem święciła młoda para wspólne triumfy. W Wenesji upamiętnił się występ Malibran-Bériot wspaniałym pochodem z pochodniami, jaki wzdłuż kanału towarzyszył artystce, powracającej w gondoli z teatru. Drugi pobyt we Włoszech uwieńczony był jeszcze większymi owacjami. W Medjolanie wybite zostały na jej cześć medale pamiątkowe...

Równie wielkie sukcesy przeżywała artystka w r. 1836 w Anglji. Nieszczęśliwy wypadek z koniem miał się zakończyć tragicznie. Potłuczona przy silnym upadku z konia, lekceważyła przestrogi i tego samego wieczoru i następnych, mimo bólu głowy i ogólnych kontuzyj grała w teatrze z niemniejszym niż zwykle zapałem i brawurą... Ale w trzy miesiące potem przestało bić to pełne muzyki serce. Umarła 23-go września 1836 roku w Manchesterze.

Dzieje życia tej wielkiej artystki, uwielbianej przez cały ówczesny świat teatralny, fascynującej głosem i uroczą młodzieńczą postacią, stały się tematem wielu publikacyj, jakie ukazały się na pprzestrzeni stulecia od jej zgonu. Utwory artystki wydane zostały w zbiorowem wydawnictwie „Dernières pensées musicales de Marie Felicité Garcia-Malibran-Bériot". J. H.



Słynna śpiewaczka XIX w. Malibran-Garcia zmarła 100 lat temu.

PRZEZ POLSKIE TUNDRY

Droga leśna opadała coraz to niżej, daleko poza nami pozostały sosny i świerki, wysokopienny las i sucha droga a miejsce kolumnad świerkowych zajęła w szare płaszcze odziana olcha, a drogę zastąpiły uginające się pod każdym krokiem brzozowe kładki. Pozostały za nami cienie lasu, a nad młodniakiem olchy świeciło teraz z jesiennego nieba złociste słońce, które szybowało gdzieś tam na mchach odkrytych, złocąc żółte dżety jesiennego listowia.

Droga wiodła ku wielkiej mszarynie, ku tundrze, która niewidoczna narazie jeszcze oczom człowieka, wabiła ku sobie cierpkim zapachem dojrzałej żórawiny. Ale oto i na mokradłową olchę ziemi już nie stało, a wielki kocioł prajeziora lodowcowego pokryły olbrzymiemi poduchami szare mchy. Ciągle i daleko — mchy.

Złociste, rude, purpurowe i szarosrebrzyste jak futerko północnego szenszyla, naszyte purpurowemi kuleczkami żórawiny, które na źdźbłach mchu zawisły jak krople korali czy krwi.

A wielki ten, dziesiątki kilometrów kwadratowych biegnący obszar, który mchami szyły miljony lat, a który był kiedyś w Dyluwium, obszarem ciągnącym się od Biarritz do Uralu, porosła brzoza karłowata Betula-nana, która roztrzepotała się teraz w jesiennym słońcu jak mała dziewczyna bawiąca się złocistymi wstęgami listowia.

Mszaryna opada coraz to niżej na mokradłowe podcieki, gdzie w chodzie i marszu uciążliwym a trudnym, pod grzęznącemi po kolana mchu nogami ciurkota woda. Wielka polska tundra ziem północo-wschodnich — Żada.

——o——

Z samego rana Jeremiej zameldował w leśniczówce, że są pardwy.

Stada dwa, trzy, u samego brzegu olszniaku trochę na lewo od karłowatej sośninki na prostej drodze do Świętego jeziora.

Trzeba było być doskonałym topografem danej okolicy, by zorjentować się w geografji Jeremieja. Od Żady do najbliższych ludzkich siedzib jest wiorst trzydzieści, a droga ciężka przez łąki i las i znowuż las i knieja podszyta, aż wreszcie tam, gdzie tchu już brakować zaczyna, gdzie zmysł równowagi zatraca się na chybotliwych kładkach, zaczyna się tundra.

Nogi grzęzną w głębokim dywanie mchów wyżej kolan, krok za krokiem, to ciągłe ćwiczenia ekwilibrystyczne, wymagające przedewszystkiem zdrowego serca, no i pasji łowieckiej! Kiedyś w zamierzchłych epokach biologicznych cała ta połać głębokiego powiatu na Wileńszczyźnie musiała stanowić jeden wielki basen wodozbioru zamkniętego klamrami puszcz nieprzebytych na podobieństwo wielkich jezior Finlandji i kiedyś też przed miljonami lat na początku



Całemi kilometrami ciągną się kładki kłodowe przez daleką tundrę. ***Fot. St. hr. Zamoyski.***

czwartorzędu z powodu niewiadomych przyczyn wody wielkiego basenu zaczęły ściekać nowotworzącymi się korytami rzeki Dzisny i Berezyny dużego strumienia Mniuty i nastało bagno. A na podbój bagna od lasów basen okalających ruszyły mchy. I tak powstała Żada. Kiedyś, jeszcze jak starzy ludzie pamiętają, centrum jej stanowił wielki zalew wodny, który dzisiaj ustąpił rozlewając się w trzy zamknięte oka: jezioro Czarne, Święte i Iłowo.

Tundra zwyciężyła lodowce. Pomiędzy tundrą i krainą wieczystych śniegów toczy się przecież walka odwieczna. Pokrywał lodowiec kilkudziesięciometrową skorupą syluryjskie korale na Ziemi Franciszka Józefa, a tutaj tundra oddychająca zapachem wegetacji wyparła lody.

Od Morza Beringa, przez Chabarowsk i ziemię Lappów ciągnąca się tundra Północy, pozostawiła na ziemiach Europy poważną swą ekspozyturę w postaci tundry polskiej, ciągnącej się szerokim płatem w północnej partji powiatu Głębockiego. Przez lasy horodzieckie, ku Dziśnie i jeszcze bardziej na północ. Dziesiątki kilometrów kwadratowych.

Poza wegetacją o charakterze wybitnie arktycznym, karłowatą sosną, mchami i brzozą-karlikiem Betula-nana najcharakterystyczniejszym objawem krainy północnej polskiej tundry jest fauna podarktyczna, zamieszkująca ten kraj.

Nie powstydziłyby się jej brzegi Yukonu, ani delta Leny, a kto wie, czy w głębinach mchowych torfowisk nie oczekują swego Adamsa mamutowe znaleziska, takie, jakie ten wielki Duńczyk odkrył na Syberji. Fauna ssaków jest reprezentowaną tam nader skąpo, gdyż poza zającem bielakiem, tak bardzo charakterystycznym zwierzęciem dla północy, występuje w tych okolicach łoś tylko jako zwierzyna przechodnia, przenosząc ciepłe bagniska rzek i Berezyny ponad zimne mchy tundry. Najbogaciej reprezentuje się tutaj ornitologja arktyki.

A więc jedyna na europejskim kontynencie, nie występująca nigdzie poza północną Skandynawją i Europejską Rosją Północną... pardwa (Lagopus lakopus).

Bielejąca wspaniale z początkiem jesieni od białych puchowin swych nóżąt, pokrywa się z nastaniem chłodów systematycznie białem upierzeniem od partji piersiowej i brzusznej swego upierzenia aż po lotki skrzydeł, w zimowe miesiące i z pierwszemi opadami śniegu wybiela się zupełnie, pozostawiając jedynie sterówki swego ogona barwie czarnej.

Częstym gościem na mszarynie jest puchka biała (Surnia nyctea) przechodząca tak jak i pardwa proces bielenia, wielki drapieżnik i mięsożerca specjalnie umiłowawszy sobie polowania na ginącą pardwę europejską.

A przez las, brzozy tundrę pokrywających cichemi krokami po mchu puszystym, ścieżynami, których nie zna człowiek, stąpa największy drapieżca lasów, tygrys Północy... ryś.

Zatrzepotały białemi skrzydłami, rozwinęły się wachlarzem, jak eskadra bojowych samolotów i z cichym okrzykiem trwogi poszybowały pardwy. Podobne były teraz do stada gołębi, które żerujące na folwarku spłoszył figlarny psiak. Ale rudowłosa seterka Zenta traktowała sprawę poważnie, zawodowo. W pewnym momencie zastygła w swym biegu, a ciemnokasztanowate oczy wlepiła w poduchy mszarne, gdyż właśnie stamtąd wiatr niósł jej wieść nieomylną. Sunęła krok za krokiem, rozdrgana, w każdym fibrze swych nerwów, aż oto z pod nosa jej wyfrunęły te białe ptaki.

Spłynął jak wielka garść bielejącego puchu, gdzieś z gąszczaru, na którym czatował i zapadł we mchy.

Wielki ptak bielejący na podbrzuszu, jasno-płowy, o wielkich ślepiach jak lunety, wypatrujących mchy. Biała sowa! Instynkt drapieżcy mówił mu podświadomie, że jest podpatrywanym, że tam gdzieś za krzakami łozy czai się istota inna, obca, niebezpieczna. Więc sowa północna obdarzona od natury wzrokiem i we dnie, rozwinęła swe skrzydła i cicho bez łopotania, odbiła się od ziemi. Jak wielki kłąb włóczkowej zabawki dziecka, w rysunku miękka, napuszona.

Oparłem głowę o mchy i wsłuchałem się w głosy tundry.

Nademną szeleści złocista brzoza, biała i smukła leśna panienka, tak miękko i tak ciepło jest tutaj na mszarynie, jak na tapczanie damskiego buduaru.

Nad dziką rosiczką zawisła leśna pszczoła, niebaczna zasadzki drapieżcy roślinnego... A wokół szumi tundra.

Feliks Dangel.

Poniżej:
Wielki drapieżca tundry — polarna sowa. ***Fot F. Dangel — Wilno***



Poniżej: Pardwa w jesiennej szacie. ***Fot. F. Dangel — Wilno.***





O SZTUKĘ PATRZENIA

Tylko wyszkolone oko znawcy zdoła uchwycić piękno obrazów Paul Cézanne'a. Oto portret dziecka pendzla wielkiego malarza

Powyższy tytuł może się wydawać niedorzeczny, a przynajmniej przesadny. Wszak patrzymy i widzimy. Czyż do tego potrzebna jest pewna umiejętność, sztuka, szczególny dar? Śmieszne! A jednak przy dalszem rozważaniu dojdziemy do przekonania, że znikomy tylko odsetek ludzi umie patrzeć i widzieć, słyszeć i wsłuchiwać się.

Do sali koncertowej wprowadza się człowieka z jakiejś zapadłej prowincji, z jakiejś miejscowości, do której kultura jeszcze nie dotarła, człowieka prymitywnego, który w życiu nie słyszał muzyki, stojącej na wyższym poziomie artystycznym, jak tylko fujarkę lub kobzę. — Człowieka tego usadawia się i każe mu się uważać. — Program zaznacza, że orkiestra wykona n. p. IX symfonję Beethovena. Po skończonym koncercie zadajmy sobie pytanie — co ów człowiek przez cały wieczór słyszał? Nieśmiertelne dzieło filozofa muzycznego? Nie! Hałas powstały z różnorodnych instrumentów, który nie wywarł na nim najmniejszego wrażenia. Nudził go tylko. Najwyżej ubawiły go niezrozumiałe a śmieszne ruchy jakiegoś pana, który odwrócony od publiczności, wymachiwał rękami i groził pałeczką grającym. Może ich nawet w ten sposób poganiał? — To byłoby sumaryczne wrażenie, jakie odniósłby ów nieszczęśnik z koncertu symfonicznego.

Posuńmy się teraz o duży krok naprzód. Wprowadźmy na salę ludzi o przeciętnem, nawet o wyższem wykształceniu. Cóż oni słyszą? Ten sam hałas, z którego tu i ówdzie wyłania się jakiś temat, jakaś melodja. Melodja, która na ich psychikę mniej albo więcej oddziałuje, naprowadza na jakieś myśli, wywołuje refleksje wspomnień, krótko — rozmarza ich. Ludzie ci po jakimś czasie wspierają głowy na rękach, przymykają oczy i dają się uwieść muzyce w „inne światy". To są ci typowi laicy, kochający sztukę, której nie rozumieją. I dla tych posiada ona największy urok. Bo oni wchłaniają w siebie tylko to, co im odpowiada. Z zamiłowaniem i bezkrytycznie. Nie pojmując tego, co na nich działa, nie wypowiadają żadnej krytyki. To są te najszersze, najwdzięczniejsze warstwy, wypełniające sale koncertowe, dobijające się do kas operowych, czekające cierpliwie godzinami (a nawet od wieczoru, przez całą noc do przedpołudnia, jak się to dzieje w Wiedniu, Paryżu, Londynie lub Berlinie) na otwarcie kasy, aby zdobyć tani bilet, poświęcające wszystko, aby spędzić wieczór w operze i wpaść przy ostatnich akordach w szczery entuzjazm. Czy te masy laików słyszały istotnie symfonję lub kompozycję operową? Jeszcze nie. Słyszały o wiele więcej aniżeli poprzedni „pitecantropus alulus", ale jeszcze ciągle były im te dzieła tak obce i niepojęte, że sobie nawet sami o ogromie tej obcości i niepojętości sprawy zdać nie mogą.

Dopiero, gdy na sali lub w operze znajdzie się osobnik, posiadający wykształcenie muzyczne, dla którego prawidła harmonji, kontrapunktu, form, kanonu i t. d. nie tylko, że nie są obce, ale jest wstanie objąć całość kompozycji, wniknąć w dzieło, wysłuchując tematy prowadzone w formie fug, kwartetu, sekstetu i postępując śladami mistrza, odkrywać perłę po perle, które niby nanizane na czarowne nici, snują się od początku do końca. Jedynie ci fachowcy słyszą w symfonji symfonję, w operze — operę.

Ilu ludzi słucha z „nastawieniem muzycznem" śpiewu ptaków? A są ptaki, żyjące na wolności, które wyśpiewują tematy pięcioa nawet ośmiotonowe, które nie tylko możnaby zużyć w muzyce, ale z czego już Wagner skorzystał w Siegfriedzie.

To nazywam umiejętnością, względnie sztuką słuchania.

Podobnie jest w malarstwie. To, co w obrazie widzi malarz, tego nigdy nie dopatrzy się laik, który nie miał w życiu pendzla w ręce. Bo laik szuka w dziele sztuki (bez względu, do jakiego ono należy rodzaju), jedynie treści. Jego interesuje wyłącznie to „co", a nigdy to „jak". Fachowca interesuje właśnie to „jak" a mniej to „co". To „co" nazywa się u laików ładne lub brzydkie. Sztuka uznaje tylko dobre i złe. Bo nawet brzydkie może być dobre (Cézanne), a często to „ładne" jest właśnie złe.

Tu leży zasadnicza różnica w pojmowaniu sztuki. Laik ulega wrażeniu, jakiem obraz treścią swą na niego działa. Dlatego tyle słabych płócien zwanych powszechnie „kiczami", spotyka się w mieszkaniach miłośników malarstwa. Obraz zachwycił ich treścią. Jak on jest zrobiony, nie odgrywa roli, bo tego „jak" nie rozumieją.

Bezsprzecznie widzą malarze świat inaczej, aniżeli ci, którzy z malarstwem nie mają nic wspólnego. Widzą go w innych kolorach, może (symbolicznie biorąc), z znaczną domieszką odcienia różowego, gdyż i na życie zapatrują się inaczej. Malarz, patrząc na daleki krajobraz, widzi w nim poemat natury, symfonję barw rozkwitłych niw lub śnieżnych całunów, wyczuwa hymn radości nad kwietnemi łanami lub elegję smutku w późnej jesieni. To samo odczuwają poeci lub muzycy. Inni, nie mający ze sztuką nic wspólnego, odczuwają to w większej lub mniejszej mierze, ale nigdy tak subtelnie, jak artyści. I właśnie ten stopień odczucia, przeżycia i zdolności oddania go czy to w formie obrazu, poematu lub kompozycji muzycznej, jest miarą wielkości i doskonałości jakiegoś artysty. To znowu możnaby nazwać sztuką patrzenia i widzenia. Widzenia tego, czego inni patrząc się — nie widzą.

A z trzecim rodzajem sztuki — z poezją, jest analogicznie. I tu panuje brak zrozumienia. Można śmiało powiedzieć, że z zasady „wierszy się nie czyta", zarówno drukowanych w formie książki, jak i po dziennikach. I to ma pewne umotywowanie. Bo źle czytany wiersz — jest naprawdę nudny. A publiczność wierszy czytać nie umie! Z braku wyczucia i odczucia. Z braku umiejętności patrzenia i widzenia, słuchania i wysłuchania tego, co poeci widzą i słyszą. To, co oni piszą, wydaje się chorobliwie naiwne. Nienaturalne. Banalne. Bo źle odczytany wiersz można porównać z odegraniem najpiękniejszej arji jednym palcem na fortepianie. Profanacja! Ale, gdy wiersz odczyta recytator, który każdemu słowu, każdej frazie nada odpowiednie znaczenie, wiersz potężnieje, nabiera gigantycznych rozmiarów i mocy, a w ustach recytatora zmienia się w muzykę słowa.

Poezja jest królową sztuk. Gdyż niema nic piękniejszego i wznioślejszego, jak wyrażać uczucia w beztonowej muzyce rytmu i rymów. Szerokie masy odczuwają czar poezji, tylko jej jako takiej nie rozumieją. Nie mogą odgadnąć, w czem leży owo zagadkowe coś, nadające wierszu cechy artyzmu, w przeciwieństwie do poezji ludowej, posiadającej wiele romantyzmu a mało kunsztu.

Na podstawie wspomnianych wywodów, wyłania się pytanie: skoro sztuka jest tak mało zrozumiała dla ogółu i tak mało zrozumiana przez ogół, że trzeba znacznych wiadomości i przeszkoleń, aby ją sobie uprzystępnić — dla kogo właściwie artyści sztukę tę tworzą? Dla szerokich mas? Dla siebie samych? Zapatrywania są różne. Zdaje się, że najwłaściwszą odpowiedzią, byłoby hasło z początku XX wieku „L'art pour l'art". Artysta tworzy, bo to jest jego koniecznością duchową, bez względu na to, czy wiersze jego będą czytane, obrazy kupowane a kompozycje grane lub śpiewane. Może ten, albo ów będzie miał szczęście i płody jego ducha, jego najgłębszych uczuć i odczuć, staną się artykułami „handlowemi". Publiczność będzie kupowała jego obrazy, znajdzie nakładców dla swych poezyj, względnie pieśni. Do tego świadomie, ale dopiero w drugim rzędzie zdąża każdy artysta. Bo przecież z czegoś musi żyć! Ale przedewszystkiem chodzi mu o... liście laurowe.

Publiczność jest w gruncie rzeczy dla sztuki obojętna I pewnie z tego powodu przechodzą ludzie całe życie obok pomników, architektonicznie ciekawych budowli lub świątyń i nie wyczuwają ani nie zauważają piękna, jakie z nich promieniuje. Z tego samego powodu zapewnie nie zdają sobie sprawy, dlaczego tak wzniosłem jest bicie dzwonów na wieżach kościelnych i dlaczego tak harmonijnie zlewają się ich dźwięki w jedną całość Ilu z przechodniów potrafi wysłuchać, że dzwony wołają w interwałach tercyj i kwint?

A jednak — jakże szczęśliwi są właśnie laicy! Porywa ich urok jakiegoś dzieła, którego nie rozumieją, czaruje ich coś, czego nie pojmują ani nie mogą zdefiniować. To są ci, którzy przeżywają największe wzruszenia, którzy się delektują sztuką, odczuwają ją... bez głębszego wniknięcia.

„Fachowcy" rozumieją dzieło, przyjmują je z zimną rozwagą, podchodzą do niego z nożykiem sekcyjnym i krając symfonje na poszczególne akordy, poematy na zgłoski, obrazy na każde pociągnięcie pendzla, zabijają entuzjazm, którego u siebie nigdy więcej nie potrafią wskrzesić.

Ludwik Maschoff.



A SWEET GIRL

NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY

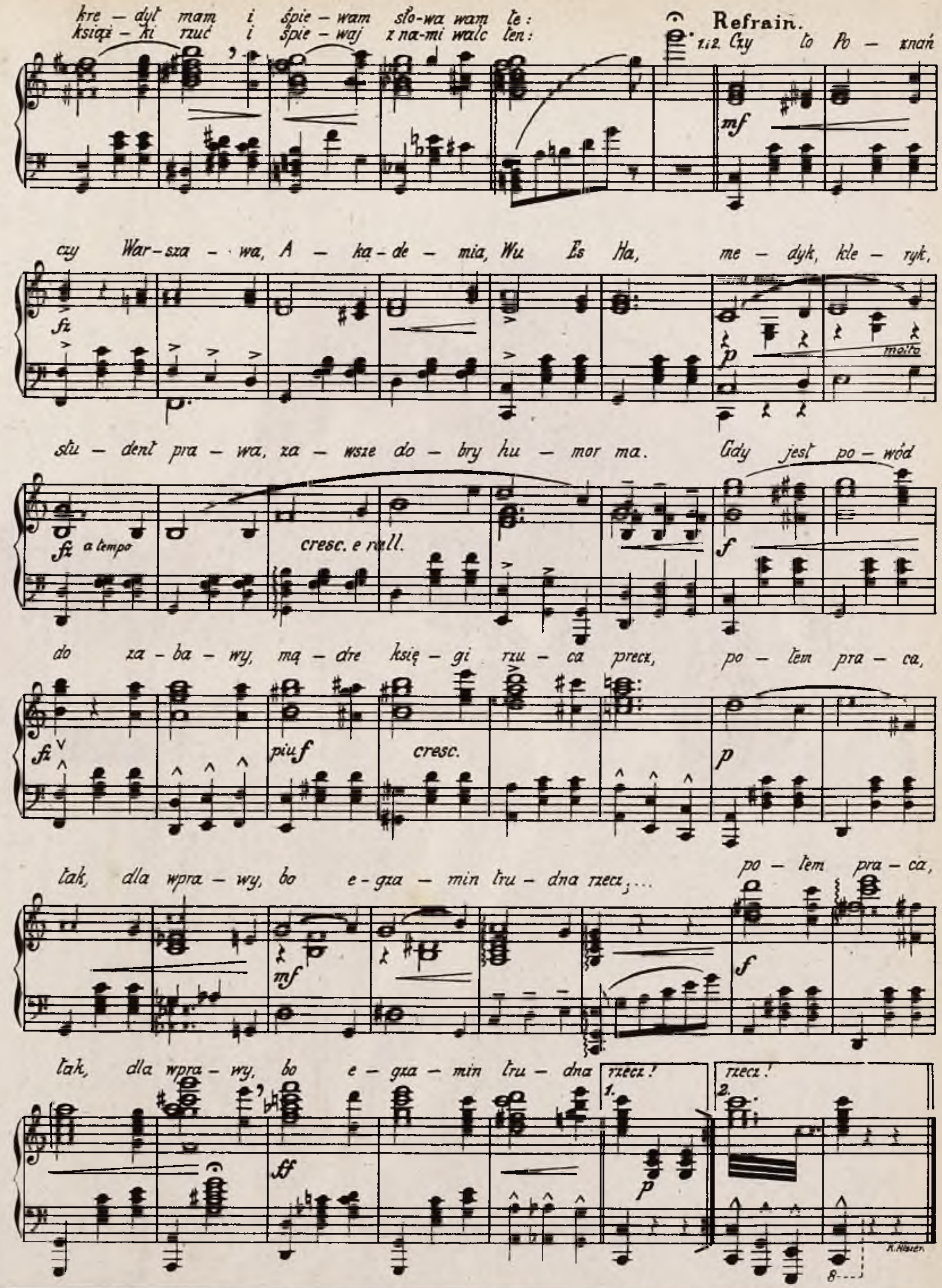
GAUDEAMUS!

W A L C

Słowa: K. LUBIENIECKI

Muzyka: A. PIOTROWSKI







KAPITAN „FAI-TSI-LONGU"

ODCINEK 21.

Napisał H. WILD POWIEŚĆ Tłum. JULJA RYLSKA

ILUSTR. AL. ŻMUDA

— Podsłuchiwała... Widzieliśmy przecież kiedy przechodziła koło nas pierwej... Słyszała więc wszystko...

Przez chwilę milczeliśmy znowu, zatopieni, każdy w swoich myślach. Nagle usłyszałem:

— O, teraz już wiem—k o c h a m n i e!

To były ostatnie słowa, które usłyszałem od niego, w tej ostatniej z poufnej, przyjacielskiej rozmowie, jaką mieliśmy w życiu.

XX.

Nazajutrz o 5-tej rano Fai-Tsi-Long był gotów do drogi. O 6-tej wpływaliśmy już do kanału, między główną wyspą archipelagu Hai-Tan, a półwyspem, by puścić się pełnem morzem na przebycie owych 1100 mil, które dzieliły nas od wysp Palaos. Świt był jasny — pogoda piękna. Słońce wstało z morza, gładkiego jak tafla różowego metalu, gdzieniegdzie tylko lekko porysowana zmarszczakami drobnych fal. Jechaliśmy po tym różowym bezkresie, w światy, ku którym ciągnęło nas to, co nazywałem chimerą Harcourta...

„Zbieg okoliczności" — powie ktoś. — Ba! Na tym świecie zbieg okoliczności stanowi zawsze i jedynie o szczęściu — albo nieszczęściu czyjemś... Miało więc i wówczas miejsce to, co nazywają „zbiegiem okoliczności" — a był to zbieg okoliczności, zaprawdę, śmiertelnych...

Opływaliśmy właśnie jeden ze skalistych występów wyspy, kiedy spostrzegłem u wylotu kanału, w odległości zaledwie dwóch mil przed nami, smukły statek, pomalowany na stalowo-szary kolor, o charakterystycznych konturach... Płynął na półparze, naprzeciw nas. Nie miałem najmniejszych wątpliwości: był to kontrtorpedowiec angielski.

Później dowiedziałem się, że należał do eskadry, której bazą było Hong-Kong.

Harcourta nie było przy mnie w owej chwili, na mostku kapitańskim. Zbiegłem na dół i zobaczyłem go na przednim pokładzie. Stał i patrzył na kontrtorpedowiec. Zawołałem na niego. Odwrócił się. Rysy jego były ściągnięte — na ustach miał przykry, ironiczny uśmiech — uśmiech człowieka, który przygląda się bezsilnie zbliżającemu się rozwiązaniu nieszczęsnego swego losu, wiedząc, że nic już nie zdoła ochronić go od zagłady...

— Może nas nie zauważyli — szepnąłem. — Spróbuj zawrócić!

— Co gadasz! — Zawrócić! — Spostrzegli nas odrazu. Przecież słońce pada w pełni na nas! Gdybym zawrócił, wzbudziłoby to dopiero podejrzenie... Zanim skryłbym się za temi skalami, jużby mnie zatopili! — Wypłynęliśmy zapóźno... albo — za wcześnie...

Zacisnął usta. Fai-Tsi-Long sunął dalej po wodzie, opływając skalisty cypel — a kontrtorpedowiec, nie spiesząc się wcale, dążył naprzeciw nam. Nie sposób było uniknąć go — wyminąć na lewo czy na prawo — bo wszędzie pełno było skał, na które bylibyśmy się nabili. Sytuacja była krytyczna. Parowiec, który wypływał z tych podejrzanych morskich spelunek, musiał z natury rzeczy budzić podejrzenia... Harcourt rozłożył bezsilnie ręce i rzekł:

— Spróbuję przepłynąć wolno — jakby nigdy nic — nie kryjąc się wcale.

Fai-Tsi-Long napierał teraz po stronie sterburty. Z odległości, jaka nas dzieliła od kontrtorpedowca, można było odczytać przez lornetkę okrętową nazwę naszego statku, tak wygodnie, jak na bulwarze odczytuje przechodzień reklamę, na dachu jednej z kamienic...

Nagle serce zabiło mi gwałtownie. Zobaczyłem, jak biały kłąb pary uniósł się nad kontrtorpedowcem. A w ślad za tem wszystkie skały wybrzeża za nami zagrzmiały echem detonacji. Harcourt zbladł.

— Żądają, żebyśmy się zatrzymali — rzekł głucho. — Wszystko stracone!

Było to również moje przekonanie. Teraz już jasnem było dla mnie, że wszystko się wykryło... Później dowiedziałem się, że nadomiar wszystkiego, kontrtorpedowiec ów spotkał był poprzedniego dnia naszego angielskiego węglowca — i że ten poskarżył mu o gwałcie, którego padł ofiarą.

— O Boże! — jęknął Harcourt — Czemuż nie puściłem się na pełne morze odrazu wczoraj! Te kilka godzin wahania zgubiły mnie!

Było rzeczą oczywistą, że Fai-Tsi-Long nie mógł marzyć o ucieczce przed kontrtorpedowcem, o szybkości 33 węzłów na godzinę!

— Trzeba się poddać — szepnąłem.

— Poddać się! — zgrzytnął, blady jak ściana. — To niemożliwe!

Drugi wystrzał — i tym razem jeszcze ślepym nabojem — oznajmił, że cierpliwość kontrtorpedowca dobiegała końca.

— Spróbuję jeszcze przesunąć się wzdłuż skał i wjechać między wyspy...

Kazał skręcić ostro na sterburtę.

Kontrtorpedowiec oddał znowu strzał, tym razem ostrym nabojem. Pocisk uderzył w morze na 50 metrów od nas i wyrzucił z wody biały słup fontanny. Było to już ostatnie ostrzeżenie...

— A! — krzyknął Harcourt — czy skończyć tak, czy inaczej!

Dał rozkaz, by nabić naszą 65 milimetrową armatkę na przednim pokładzie i sam wycelował. Zaczęliśmy więc i my ogień! Ale żaden z naszych pocisków nie donosił. Harcourt — jasnem to było dla mnie — mierzył umyślnie zadaleko. Widocznie nie chciał trafić w kontrtorpedowiec, tylko doprowadzić do tego, aby anglik zatopił nas. — Jakże to dobrze oddawało charakter mego przyjaciela! — A ja powtarzałem sobie w duchu: Rance, mój chłopcze, oto ostatnia twoja przygoda!

Następny pocisk trafił w nasz pokład w okolicy wielkiego masztu i uderzył weń z piekielnym łoskotem. Zaczynało się więc ostatecznie niszczenie...

Nagle usłyszałem krzyk za sobą. — Oglądnąłem się i zobaczyłem tę kobietę. Zadrżałem. Ogromny gniew wezbrał we mnie i pokazując jej, co się dzieje, krzyknąłem, jąkając się z wściekłości

— Oto dzieło pani!

Harcourt spojrzał również za siebie — zobaczył ją i w jednej chwili twarz jego zmieniła wyraz.

— O, Boże! — zawołał — Cóż ja robię! Oszalałem chyba! Przecież ona zginęłaby z nami!! — Rance! — Każ wywiesić białą płachtę — prędko! — Ja

przez ten czas biegnę zatrzymać maszyny...

Rzuciłem się, by wypełnić jego rozkaz. Lecz nim znalazłem kawał białej szmaty, już nowy pocisk ugodził w kabinę i roztrzaskał ją. Zaraz potem rozległ się głuchy łoskot i poczułem wstrząs całego okrętu. Zwiastowało to, że statek został ugodzony w kadłub, gdzieś niedaleko ponad swą linją wodną.

Wreszcie znalazłem kawał białego płótna i powróciłem z nim na pokład. Oglądnąłem się za Harcourtem. Spostrzegłem go niedaleko, a koło niego stała ta kobieta, drżąca cała. Postąpił jeszcze krok ku niej i pochwycił ją w objęcia. Nie odtrąciła go — lecz, oplótłszy ramionami, uściskiem odpowiedziała na uścisk. Widziałem to na własne oczy!

Ale czyż porywowi temu musi się koniecznie przypisywać miłosne znaczenie? — Może poprostu bała się i ze strachu wtuliła się w jego ramiona — czepiała się go tak rozpaczliwie... Mogło być tak — mogło być inaczej... Może Harcourt miał słuszność poprzedniej nocy — kiedy dowodził, że kobieta ta kochała go...

Ale wszystkie te myśli nachodziły mnie dopiero potem. W owej chwili — może sobie pan wyobrazić — miałem coś innego do roboty! Udało mi się wreszcie podciągnąć w górę na linewce moją białą płachtę. Ogień kontrtorpedowca natychmiast ustał.

Spojrzałem po pokładzie i zobaczyłem, że pewna liczba naszych ludzi rzuca się do morza. Oczywiście! Nie uśmiechały im się niedyskretne pytania, które — jak słusznie przewidywali — miano im stawiać... Woleli puścić się wpław do niezbyt odległego lądu.

Harcourt trzymał ciągle młodą kobietę w ramionach. Stali tak, spleceni uściskiem. Słyszałem jak mówił do niej:

— Ukochana — nie lękaj się — nic ci nie grozi. — Dla mnie wszystko już skończone... — Zapóźno przyszłaś do mnie... Harcourt — oficer wojennej marynarki francuskiej — kawaler Legji Honorowej — odznaczony za waleczność na morzu, podczas wielkiej wojny — którego teraz pojmą, jak zwykłego pirata... Nie! Nie będzie tego! — zawołał i zaśmiał się tak okropnie, że serce zamarło we mnie. — Widzisz, w tej chwili jestem tylko piratem — i stałem się nim przez miłość dla ciebie...

Urwał. — Nie ruszyła się — nie starała się uwolnić z jego ramion. Obejmowała go dalej, złożywszy głowę na jego piersiach.

— Pamiętaj o mnie, ukochana — wyrzekł z mocą. — Nadejdzie chwila, kiedy zrozumiesz mnie i przebaczysz...

Podniosła nagle głowę i spojrzała mu w twarz. Pochylił się wtedy szybkim ruchem — z całych sił przytulił ją do piersi — i oszalały miłością, przycisnął usta do jej ust. Zapamiętał się w tym pocałunku. Miałem wrażenie — dziwne to — ale chyba mi się nie zdawało... że ona oddała mu ten pocałunek... Ale jeśli tak było, to mogło to być również pod wrażeniem owej strasznej chwili... A może zdawało mi się tylko...

On pierwszy uwolnił się z uścisku i odsunął ją łagodnie od siebie.

— Żegnaj ukochana! — Żegnaj Rance! krzyknął i nim zorjentowałem się, co zamierza uczynić, rzucił się i skoczył w morze.

Nie upłynęły dwie sekundy, a już skoczyłem za nim. Spuszczałem się w głębię—wypływałem na powierzchnię—szukałem go we wszystkich kierunkach. W miejscu, gdzie zanurzył się, nie było nic widać na wodzie. To niemożliwe! — przemknęło mi się przez myśl — i szukałem go dalej rozpacznie. Lecz ile razy wypływałem, widziałem tylko gładką taflę morza... Nurkowałem dalej, krążyłem w różnych kierunkach. Łkania rozdzierały mi piersi. Powtarzałem wkółko: „To niemożliwe — niemożliwe!" — a wiedziałem, że to, nie tylko możliwe — ale pewne! — Byłem bezsilny — zniknął i nie pokazał się więcej na wodzie. A było to rzeczą naprawdę nadludzką — bo przecież człowiek ten p ł y w a ł j a k r y b a !

Widzi pan ten hart, tę siłę piekielną! Pozwolił wciągnąć się głębi! — Musiał odrazu otworzyć usta i nabrać w nie, ile mógł, wody. A przecież pan wie, że to prawie wykluczone, żeby człowiek, umiejący pływać, tonąc, odruchowo nie bronił się — nie wykonywał bezwiednie ruchów pływaka... On jeden tylko mógł zdobyć się na tę nadludzką siłę, tę wolę — na ten okrutny hart samozatracenia!

Ja jednak szukałem go dalej, choć wiedziałem, że nie żyje już. Pływając tak, płakałem gorzko — wołałem go po imieniu. Wreszcie musiałem uznać, że to co robię jest szaleństwem. Spojrzałem w górę: burta Fai-Tsi-Longa wznosiła się wysoko nademną — a tam pochyloną połową ciała wiszącą nad głębią, zobaczyłem ją... Oczy jej rozszerzone przerażeniem, wpatrywały się we mnie. Chciała wołać — nie zdołała zgłosek ułożyć w słowa... Ja zaś krzyknąłem ku niej:

— Zabiłaś go, ty! Przeklinam cię! — Niech pamięć jego śmierci będzie ci wyrzutem i karą do końca życia!

Odwróciłem się i prując silnie wodę ramionami, zacząłem oddalać się ku lądowi. Płynąłem z wściekłością i rozpaczą. Miałem około mili do przebycia, lecz była to drobnostka dla mnie. Wylądowawszy, znalazłem się na brzegu, wśród ludzi, którzy przedemną opuścili pokład Fai-tsi-Longa. Byli to przeważnie ci, których Harcourt przywiózł z sobą z Fu-Tczeu. Wybiegłem na skalisty cypel i patrzyłem, jak łodzie, spuszczone z kontrtorpedowca otoczyły Fai-Tsi-Long. Okręt nasz leżał jednym bokiem na wodzie. Tak, jak przypuszczałem, pocisk ugodził tę wstrętną, starą krypę w okolicy jej linji zanurzenia i kładł wreszcie koniec jej długiemu życiu.

Nie żałowałem jej!

Widziałem też, jak jedna z łodzi dowiozła do kontrtorpedowca młodą kobietę. Z wszystkich ludzi, którzy byli na Fai-Tsi-Longu, ona jedna pozostała do końca na pokładzie...

Wkońcu kontrtorpedowiec, dla bezpieczeństwa, wystrzelił jeszcze jeden pocisk na tonący statek, ażeby przyspieszyć jego zniknięcie w falach. Istniała bowiem zawsze możliwość, że ta pływająca ruina mogła czas jakiś unosić się jeszcze po morzu, jak ponury okręt-widmo... Do kwadransa nie było już śladu na wodzie ze starego Fai-Tsi-Longa — zniknął na zawsze w morskich odmętach...

Kontrtorpedowiec zaś, oddalał się, unosząc na swym pokładzie eks-panią Koo — i niedługo stał się tylko szarą plamką na horyzoncie. A przedemną, w tych cichych jasnych wodach, leżał martwy, mój biedny Harcourt...

Z nim razem znikła cała moja młodość i radość i przyjaźń — i cała nadzieja moja i wiara w przyszłość...



Kontrtorpedowiec oddalał się, unosząc na swym pokładzie eks-panią Koo..

XXI.

Oto koniec mej powieści. To co potem zaszło, nie jest już interesujące.

Ludzie z załogi Fai-Tsi-Longa pomogli mi dostać się do Fou-Tczeu. Tam oddali mnie w opiekę chińskich przyjaciół Harcourta. Ci zaopiekowali się mną życzliwie, zaproponowali mi nawet, abym pozostał u nich... Ale nie znęciło mnie to. Gdyby on żył — z nim razem — to co innego. — Ale sam? — Odmówiłem.

— A cóż się stało z tą panią? — zapytałem Rancego.

— Komendant kontrtorpedowca zawiózł ją do Szanghaju. Tam zeznała — tak jak jej to podał Harcourt — że podczas napadu bandytów na domostwo męża, udało się jej zbiec i s[illegible] na Fai-Tsi-Long, który s[illegible] wówczas w porcie w Swatow. Kapi[illegible]go był jakimś dziwnym, zwyrodniałym w[illegible] człowiekiem... I opisała im Rekina... Opisała go dokładnie — i zwaliła na niego wszystko, co Harcourt zdziałał potem na Fai-Tsi-Longu.

— Ale przecież załoga tego angielskiego statku węglowego mogła dać dokładny opis napastnika...

— Mówiłem już panu, że Harcourt miał jeszcze na tyle wstydu — czy ostrożności — iż zakrył wówczas twarz jakby maską. Rozumie pan: nikt nie odnalazł nigdy trupa Rekina w Swatow. Albo go rzeka zaniosła do morza, albo załatwiły się z nim żółwie, dość, że nie wypłynął nigdy. Uprościło to bardzo sprawę. Wszystko poszło na karb Rekina, który już protestować nie mógł przeciw temu... Reputację i bez tego miał haniebną — jedną z najgorszych na Chińskich Morzach, gdzie przecież spotkać można niezłą kolekcję takich robaczywych typów! — Więc uwierzono łatwo w to co ta kobieta mówiła. (Ciąg dalszy nastąpi).



NIEDOWIERZANIE

Urocza artystka Irena Agay, w filmie „Jej Wysokość tańczy walca".

PO ŚCIERNISKACH
Z★A »L★I★S★E★M«









Poniżej od lewej: Fragment biegu myśliwskiego za psami 5 p. s. k. Najodpowiedniejszy dress do biegów myśliwskich.



W kole: Uczestnicy biegu myśliwskiego 5 p. s. k. w przejeździe przez rzekę.

Gdy z pól zostaną zwiezione ostatnie wiązanki zboża a szron co rano bieli szerokie opustoszałe pola — zaczyna się najpiękniejszy bodaj okres sportu jeździeckiego. Można wtedy, wyrwawszy się z miasta, przegalopować po ścierniskach, przepędzić tu i ówdzie zająca i wrócić do szarych murów miejskch odświeżonym i pełnym nowych sił.

Okres jesieni to także okres biegów myśliwskich, którym patronuje św. Hubert. — Wprawdzie święto tego myśliwskiego i konnego patrona wypada dopiero na dzień 3 listopada, ale już od pierwszych dni października trwa sezon polowań par force i biegów myśliwskich.

Tak ściśle biorąc — to polowanie par force należą, przynajmniej w Polsce, do przebrzmiałych imprez i jeśli gdzieś się odbywają to tylko jako bardzo nieliczne wyjątki. Coraz rzadsze są także u nas sfory myśliwskich ogarów, których zawodzenie przepełniało dawniej leśne knieje. I na tym sporcie odbił się znak czasu — wszechpotężny kryzys.

Lisy mogą więc swobodniej chodzić po polach. W miejsce polowań na lisa pozostały jednak biegi myśliwskie, o których corocznie na jesieni czyta się sprawozdania. Odbywają się one jak Polska długa i szeroka. Przodują w organizacji tych biegów pułki broni konnych, ale także i kluby jeździeckie dzielnie w tym zakresie, sekundujące kawalerzystom. Biegi te powodują, że wogóle sezon jesienny ożywia się. Bo bieg myśliwski to nie jest oficjalny konkurs hippiczny, na którym obowiązuje i odpowiedni strój i... odpowiednia umiejętność jazdy oraz klasa konia. W biegu myśliwskim jedzie wielu takich, którzy nie odważyliby się na udział w oficjalnym konkursie konnym.

Co innego jest skakać przez wysokie i trudne przeszkody na stadjonie a co innego skakać nawet trudniejsze przeszkody w terenie, kiedy konie, idące ławą, skaczą chętnie i palą się do szybszego biegu.

Tu i ówdzie biega się za psami. Tylko, że przed nimi nie biegnie zazwyczaj lis, ale jeździec — który znaczy ślad jakimś wyraźnym zapachem. Najczęściej bywa to... śledź. Bieg za psami jest bardzo oryginalny. Psy nadają na początku biegu bardzo silne tempo, które jednak pod koniec nieco spada. — W każdym razie biało-bronzowe psy, nawołujące się charakterystycznem zawodzeniem nadają takiej imprezie bardzo odrębny a piękny nastrój.

W r. bież. jeden z pierwszych biegów myśliwskich i to za psami urządził 5 Pułk Strzelców Konnych na trasie z Dębicy do Straszęcina. Mastrem biegu był mjr. Mokrzycki,

(Dokończenie na str. 31-ej)

75-LECIE ANGIELSKIEJ P. K. O.
£. 600.000.000 WKŁADÓW

Przed kilku dniami najstarsza na świecie P. K. O. mianowicie angielska, obchodziła 75-lecie swej działalności. W związku z tym Dyrektor tej kasy Major G. C. Tryon w radiowym przemówieniu zobrazował jej działalność i rozwój na przestrzeni tego okresu.

Stwierdził on, iż w roku założenia kasa liczyła około 300 zbiornic (urzędów pocztowych) a dzisiaj posiada ich około 16.500. Liczba kont oszczędnościowych wynosiła 2 w 1862 r. 176.000 z 2 milj. £ wkładów. Obecnie liczba kont wynosi 10 milj., a suma wkładów 600 milj. £ (ponad 15.600 milj. złotych). Prawie każda rodzina angielska posiada książeczkę P. K. O., a na niej przeciętnie 45 £ (ponad 1.200 zł). W r. 1861 angielska P. K. O. liczyła zaledwie pięciu urzędników — dziś liczy przeszło 3.500 osób. Około 5.000 kont otwiera się miesięcznie dla dzieci poniżej 7 lat. Instytucja ta posiada obecnie prawie 50% ogólnej sumy wkładów i uważana jest powszechnie za narodową instytucję Anglii w zakresie gromadzenia kapitałów.

Podobnie szybki rozwój wykazuja Pocztowe Kasy Oszczędności w innych krajach. Szerokie rozpowszechnienie Posztowych Kas Oszczędności tłumaczy się właściwymi tym kasom zaletami. Pocztowe Kasy docierają swymi wpływami do najdalszych zakątków kraju, wypełniając tym samym luki w organizacji kredytowej. Poza tym prosta organizacja, łatwość i taniość usług, oszczędność czasu, dzięki najbardziej nowoczesnym urządzeniom, umożliwiają korzystanie z usług tego rodzaju instytucyj najszerszym warstwom społeczeństwa.

Analogicznie i P. K. O. w Polsce w krótkim stosunkowo czasie zdołała osiągnąć poziom nie tylko dorównujący najlepiej zorganizowanym instytucjom pokrewnym zagranicą, lecz w wielu wypadkach świeci zagranicy przykładem. 2,200.000 książeczek oszczędnościowych z przeciętnym wkładem złotych 300.— na książeczce, 76.000 kont czekowych, 850 milj. zł wkładów, 27½ miljrd. obrotów czekowych, w tym 21 miljrd. obrotów bezgotówkowych, 122.000 polis ubezpieczeniowych na ogólną sumę 182 milj. zł, 190.000 wpłat i wypłat dziennie — oto najlepszy obraz wyników osiągniętych przez naszą P. K. O. Wkłady P. K. O. stanowią obecnie prawie 1/3 ogólnej sumy wkładów w Polsce.

W ciągu zatem kilkunastu zaledwie lat nasza P. K. O. — podobnie jak i angielska — przeobraziła się w prawdziwą Skarbnicę Narodową kapitałów. Jest ona dziś najpotężniejszym zbiornikiem, do którego spływają oszczędności tysiącem kanałów z najdalszych zakątków kraju i rezerwoarem kapitałów, z którego korzystają wszystkie dziedziny życia gospodarczego.



Efektowna piękność szczerzy swe ząbki do publiczności.



Na prawo: Na sztalugach zamiast płótna czeka na malarza żywa skóra girlsów music-hallu!

„DERNIER CRI" W „CASINO"

Stolica Wielkiej Brytanji została zelektryzowana niesłychaną nowością, którą można oglądać w znanym music-hallu „Casino". Mówiąc „stolica", popełniamy oczywiście grubszą niedokładność: należy powiedzieć część stolicy, lubiąca eskapady do lokali rozrywkowych. Jak wszędzie tak i tam najpewniejszą publicznością „rozrywkową" są przyjezdni. Sensacja jest tym razem naprawdę oryginalna: oto pomalowano pięknym girlsom plecy, tworząc portrety w karykaturze różnych popularnych typów. Oczywiście, że ta „odwrotna strona medalu" przy tańcu i odpowiedniej „mimice" pleców nabiera nazbyt pociesznego wyglądu, śmiesząc swoją paradoksalnością i oryginalnością. Podczas gdy niektórzy ludzie nie posiadają prawie zupełnie twarzy spowodu jej bezbarwności i szarości, tu oto na deskach „Casino" widzimy urocze dziewczęta, rozporządzające aż dwiema: jedną własną, miłą buzią, drugą — maszkarą, mogącą się przyśnić człowiekowi.

Oczywiście, że nowy ten rodzaj „portretów" wymaga też nowej techniki malowania, boć przecie materjał, na którym się maluje, jest nieco oryginalny! Na specjalnych sztalugach siedzą girlsy, poddając się tej trudnej artystycznej operacji gdyż trzeba się liczyć z transpirowaniem ciała i możnością starcia obrazu. Następnie ukazują się te „żywe obrazy" na scenie wykonując „tańce mimiczne", które spotykają się z rzęsistemi brawami publiczności.

Oczywiście, że tylko pięknym kobietom wolno być... tak brzydkiemi! — Obrazy, przeniesione na plecy mężczyzny, robiłyby przykre wrażenie. O artystkach można śmiało powiedzieć, iż są... wielostronne, ale można im też zarzucić, że nigdy wyraźniej nie uwidoczniła się ich... dwulicowość! Ale to ostatecznie detal...

J. G M.



Powyżej: Przed wystąpieniem na scenie malarz music-hallu uzupełnia „obrazy" kilkoma pociągnięciami pendzla.



Na lewo: Oto kilka komicznych typów wyobrażonych na plecach girlsów.



Na prawo: „Stokrótka" jest jedną z najkapitalniejszych kreacyj londyńskiego „Casino".

Ubieramy futra...



W futrach wybitnie sportowych panuje tendencja utrzymania ich długości nieco poniżej kolan (klapy bez futra).

— Nadchodzi zima! trzeba pomyśleć o futrze! — tak mówi sobie niejeden z nas, patrząc na termometr, objawiający z dniem każdym coraz to wyraźniejsze „tendencje zniżkowe" w przeciwieństwie do cen, które wbrew oficjalnym zapewnieniom o utrzymaniu dotychczasowego kursu naszej waluty zwyżkują jak za „dobrych" czasów ś. p. grabszczyzny. One to najczęściej stają na przeszkodzie naszym szeroko zakrojonym planom z zakresu mody, która jeśli chodzi o tegoroczny sezon zimowy, nie odbiega od wzorów z lat ubiegłych.

Rozmyślając na temat futra, które ma spełnić zadanie uniwersalnego okrycia zimowego, stajemy przed niebylejakim dylematem i wybór nasz będzie tu naprawdę trudny. — Niejeden z nas pragnąłby bowiem, aby futro służyło mu zarówno do fraka czy smokinga w mieście, jak i do sportowego dressu w górach, lub cogorsze na polowaniu. A tu jak na złość podobna kreacja nie istnieje! Jak dotąd nie urodził się bowiem jeszcze taki mistrz krawiecki, czy redaktor najbardziej ekscentrycznego żurnala męskiego, któremuby się udało wpaść na pomysł zestawienia takiego futrzanego omnibusu.

Musimy się więc zdecydować: wóz albo przewóz — futro miejskie albo sportowe. Ale i wtedy, gdy wkońcu coś konkretnego w tej materji postanowimy, wypełznie ku nam nowe zmartwienie. I w jednym bowiem i w drugim wypadku będziemy zmuszeni postarać się o skromne przynajmniej pendant naszej futrzanej kreacji w postaci ciepłego płaszcza sportowego (uzupełnienie futra miejskiego), lub ciemnego palta (uzupełnienie futra sportowego). Wybrawszy fason typowo miejski, a więc wierzch czarny lub marengo, wolny, ale nie za obszerny, kołnierz z wydry amerykańskiej lub bobra, szalowy albo z klapami, spód z nutrji czy tchórzy, względnie jeśli kogoś stać na to z nurków lub soboli — musimy nosząc go wyeliminować na czas zimy wszystkie garnitury sportowe, które do tego rodzaju futra nadają się jak „wół do karety". Nie pozostaje więc nic innego, jak sprawić sobie ciepły ulster jako jedyną w tym wypadku oprawę dla sportowej części naszej garderoby.

I w drugim wypadku natrafiamy na analogiczną sytuację. Bałędające się spod jasnego wierzchu czarne spodnie z frakowym lampasem, lub choćby żakietowe inekspimable

Dokończenie na str. 31-ej.

Poniżej: Podbite futrem ulstry z szewiotu, zapinane wysoko pod szyję, pozostaną zawsze najpraktyczniejszem i najbardziej twarzowem okryciem zimowem dla młodych gentlemanów. .





Powyżej od lewej: W mieście, wieczorną porą obowiązuje czarne, lub przynajmniej ciemno-stalowe futro z szalowym kołnierzem z wydry amer., lub bobra — W górskich miejscowościach klimatycznych mężczyźni zaczęli nosić futra na wierzchu, przyczem sam kołnierz w kontrastującym do całości kolorze (najczęściej białym). — Kołnierz z popielatego baranka perskiego wypadu najlepiej na ciemno-granatowym wierzchu.







Mały KALENDARZYK PANA

- **Wieczór w eleganckiej restauracji:** Jednorzędowy lub dwurzędowy smoking — kamizelka z czarnego rypsu lub mory — analogiczna krawatka — kołnierzyk wykładany lub z rożkami — czarny miękki kapelusz filcowy.
- **Proszony wieczór:** Rodzaj stroju oznacza zwykle zapraszający. Jeśli jednak na zaproszeniu niema żadnej wzmianki, odnoszącej się do stroju, natenczas obowiązuje frak. Gdy mimo to ma ktoś jeszcze wątpliwości, jak się ubrać, może przy okazji telefonicznego przyjęcia zaproszenia ustalić z panem domu rodzaj ubioru.
- **Bale:** Frak z białą kamizelką — kołnierzyk z rożkami i biały krawat — pumpsy (czółenka lakierowe) — chapeau claque. — Młodzież może wyjątkowo ubrać smoking z białą kamizelką.
- **Wizyty** (oficjalne): Żakiet z popielatemi spodniami — kamizelka zwykła lub popielata dwurzędowa — kołnierzyk wykładany i długi krawat, lub z rożkami i plastron — półbuciki i getry, lub całe buciki z cholewkami matowemi — cylinder — czarne futro lub palto — popielate rękawiczki. Na nieoficjalne wizyty można ubrać c z a r n ą marynarkę w analogicznem zestawieniu, ale i z czarnemi spodniami. Tu obowiązuje melon, lub czarny miękki kapelusz filcowy.
- **Bridż proszony:** Czarne lub granatowe jednorzędowe ubranie marynarkowe — twardy kołnierzyk o dowolnym fasonie — motylek — półbuciki czarne bez getrów, płaszcz ciemny — melon. Jeszcze lepiej dwurzędowy smoking z czarną kamizelką.
- **Ślub:** Przed południem: Żakiet — najstosowniej kołnierzyk z rożkami i plastron — getry — cylinder — popielate rękawiczki. — P o p o ł u d n i u: Frak z białą kamizelką — cylinder — białe rękawiczki (tu nie czółenka, lecz lakierowe półbuciki).
- **Kabaret itp.:** Ciemne ubranie marynarkowe jedno lub dwurzędowe — biały kołnierzyk — spokojny krawat — buciki bez getrów.
- **Wesele:** Frak (ordery). Przed południem czarna marynarka lub jeszcze lepiej żakiet.
- **Prywatny wieczór z tańcami:** Jednorzędowy smoking z białą kamizelką (także i frak).
- **Herbatka z tańcami:** Ciemne dwurzędowe ubranie marynarkowe — biały wykładany kołnierzyk — spokojny krawat. Można też ubrać jednorzędową ciemną marynarkę z popielatą kamizelką.
- **Teatr — koncert:** Jedno lub dwurzędowy smoking z czarną kamizelką, ewentualnie strój, jak na proszonego bridża. — Loże w operze: Frak z kwiatem w klapie, lub minjaturami orderowemi (tu nie czółenka, lecz lakierowe półbuciki).



- **Melon:** tylko całkiem ciemne ubrania marynarkowe (czarne, granatowe i popielate).
- **Cylinder:** żakiet — frak. — Popielaty cylinder: derby.
- **Chapeau claque:** frak na bal.
- **Czarny miękki kapelusz:** smoking.



- **Żakiet i kombinowana czarna marynarka:** ślub, wesele przed południem — wizyta oficjalna — konkursy hippiczne.
- **Popielaty żakiet:** derby.
- **Czarna marynarka:** nieoficjalne zebranie wieczorne towarzyskie — bridż — nieoficjalna wizyta.
- **Ciemna marynarka:** popołudniowa herbatka z tańcami — wieczór w kabarecie, teatrze kameralnym itp.
- **Dwu- i jednorzędowy smoking:** (czarna kamizelka): wieczór w eleganckiej restauracji — koncert — zaproszenie na wieczór bez tańców — teatr — większy bridż wieczorem.
- **Jednorzędowy smoking** (biała kamizelka): Wieczór z tańcami (wyjątkowo dla młodzieży: bal).
- **Frak** (biała kamizelka): wielkie przyjęcie wieczorem — bal — ślub po południu i wieczór — raut — opera. Czarna kamizelka tylko do południa: akademja, egzamin itp.



P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

OMLETY FRANCUSKIE. 30 dkg szpinaku ugotować, odcedzić, posiekać drobno, podsmażyć z łyżką masła, zaprawić czosnkiem i wystudzić. 4 jaja ubić z 4 łyżkami mleka, posolić, dodać łyżkę mąki (5 dkg), roztrzepać dokładnie, zmieszać z szpinakiem i wysmażać na małej patelce omlety. Przekładać po dwa siekaną szynką i podawać gorące z zieloną sałatą.

ZRAZY NAPOLEOŃSKIE. Dość duże zrazy z pierwszej biodrowej ubić cienko, nakładać drobno siekanemi jarzynami, np. użyć można cebulki, marchewki, pietruszki, selera, grzybków. Wszystko drobno posiekane lub zmielone i podsmażone na maśle. Zrazy zwinięte i owiązane lub spięte spinaczami, obsmaża się z wszystkich stron na maśle, podlewa rosołem i dusi na wolnym ogniu. Pod koniec wkrawuje się kilka ziemniaków i dodusza je razem z mięsem, przy częstem potrząsaniu rondlem. Ziemniaczkami temi okłada się zrazy, pozbawione nitki i ułożone na środku półmiska; sosem zagęszczonym tartym chlebem polewa się zrazy.

MŁODE KUROPATWY Z ROŻNA. Oczyszczone kuropatwy wymywa się szybko, obsusza serwetą, owija płatkami młodej słoniny, nakłada na rożen i piecze na silnym ogniu 15 minut, próbując czy mięso miękkie (dla młodego ptaka czas ten powinien starczyć). Zdejmując z rożna, odwija się nitkę, którą umocowana była słonina i przecina ptaszki na połówki. Ułożone na półmisku, przekłada się słoninką, pokrajaną zgrabnie i podaje z kompotem z brusznic.

GRZANKI Z JAJAMI. Kraje się bułki w poprzeczne talarki na palec grubo, wyjmuje ośródkę i powstałe stąd krążki wysmaża na maśle. Ogniotrwały półmisek smaruje się masłem, układa wysmażone pierścienie bułkowe, wbija jaje do każdego krążka, ostrożnie, aby żółtka nie uszkodzić, posypuje solą i pieprzem, kropi masłem i kwaśną śmietaną, przykrywa, wstawia do gorącego piecyka na kilka minut. Jak tylko białko się zetnie, podaje się potrawę wraz z półmiskiem, otoczonym serwetą.

LEGUMINA Z KWAŚNEJ ŚMIETANY. 5 dkg masła, 4 żółtka i 4 łyżki cukru z zapachem cytrynowym utrzeć na pianę, dodać 4 łyżki gęstej kwaśnej śmietany i pianę z 4 białek, wkońcu 3 łyżki tartych biszkoptów. Masę układa się w wysmarowanej masłem formie budyniowej i gotuje na parze trzy kwadrance. Budyń podaje się oblany rozpuszczoną marmoladą. Tę samą leguminę można też wypiec w rondelku i podawać z kremem.

KONFITURA Z ZIELONYCH POMIDORÓW. (Dla p. Z. G. z Karwiny). 1 kg twardych, zielonych pomidorów sparzyć wrzącą wodą, obrać ile się da, z łupki i pokrajać w talarki. Z 1 kg cukru i szklanki wody ugotować gęsty syrop, wrzucić pomidory wraz z pokrajanemi w cienkie plasterki cytrynami, obranemi dokładnie z pestek. Konfiturę smaży się powoli na kraju blachy, godzinę, poczem dolewa się kieliszek rumu i składa gorącą do słoja.

KALAFIOR ZAPIEKANY. Ugotowany w słonej wodzie kalafior układa się na ogniotrwałej miseczce i zalewa następującą masą: łyżkę masła i mąki smaży się na jasno-złoty kolor, zalewa pół szklanką mleka i rozciera na ogniu na gładki beszamel. Następnie soli się i pieprzy, dodaje troszkę siekanej zielonej pietruszki i miesza z osobno utartem masłem (5 dkg) z dwoma żółtkami i pianą z 2—3 białek. Kalafior pokryty opisaną wyżej przyprawą, wstawia się do piecyka na 10 minut.

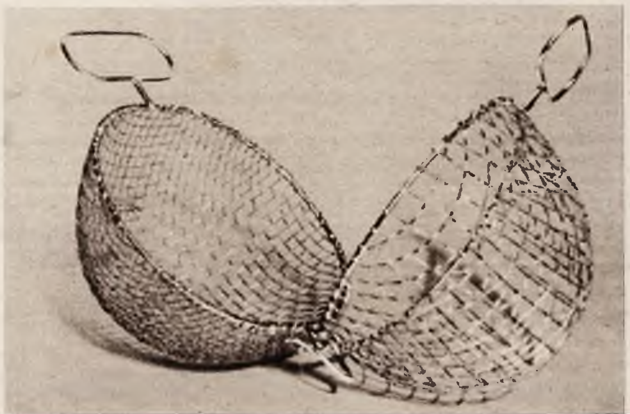
PASZTECIKI Z CIASTA SEROWEGO. Miękki ser twarożek, masło i mąkę w równej ilości soli się i zagniata na gładkie ciasto, przewałkowując je kilka razy. Wkońcu wałkuje się je na grubość ołówka, wykrawuje kwadraty i zawija przeznaczoną do pasztecików masę z móżdżków, szynki lub też kawałków małych kiełbasek. Wypieka się w gorącym piecu tak, jak ciasto francuskie.

GROSZEK ZIELONY PO ANGIELSKU. Wyłuskany świeży zielony groszek zalać wodą tyle tylko, aby go przykryła, posolić, pocukrować do smaku i ugotować w parze. Gdy miękki włożyć łyżkę deserowego masła i troszkę zielonej pietruszki, zaparować pod podkrywą, nie gotując więcej, potrząsnąć parę razy naczyniem, aby się masło równo rozdzieliło i wydać do kotletów, befsztyków lub oddzielnie jako część bukietu jarzynowego.

POTRAWKA Z MLECZKA CIELĘCEGO (dla ozdrowieńców). Duże mleczko, odjęte z motska cielęcego włożyć na parę godzin do mleka, sparzyć wrzącą wodą i obciągnąć z błony, następnie pokrajać w cienkie plastry lub kostkę, posolić i włożyć do rynki na troszkę gorącego masła. Poddusiwszy chwilę na wolnym ogniu, zrumienić na ogniu ilniejszym, podsypać mąką i po chwili zalać łyżką bulionu i kieliszkiem madery, wcisnąć troszkę soku cytrynowego, dodać szczyptę cukru i poddusić jeszcze 10—15 minut. Podaje się obłożono kaszką, grysikiem lub ryżem, oraz młodemi jarzynkami.

Sc. Ko.

NOWOŚCI
GOSPODARSTWA
DOMOWEGO



Zawsze dużo kłopotu w gospodarstwie domowem sprawiało gospodyniom pomieszczenie jarzyn, to też reprodukowany obok koszyczek druciany jest pożądaną nowością. Wszelkie jarzyny mogą w nim spoczywać przez kilka dni w spiżarni, przyczem dostęp powietrza chroni je przed psuciem się.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 43 **Październik** Dni 31
Niedziela **18** Łukasza ewang.	Rosół z drobiu z kaszką. Paszteciki z móżdżkiem. Polędwica wieprzowa z duszoną kapustą. Legomina z kwaśnej śmietany. <u>Kolacja</u>: Zimna kaczka z ostrą sałatą.
Poniedziałek **19** Piotra z Alk.	Zupa jarzynowa z tartem ciastem. Kalafior zapiekany. Pieczeń barania z sosem pomidorowym i ryżem. Kompot mieszany z keksami. <u>Kolacja</u>: Hachée z mięsa rosołowego.
Wtorek **20** Jana Kantego	Zupa grochowa z grzankami. Budyń z włoskiej kapusty. Zając duszony po angielsku w naturalnym sosie z kluseczkami. Jabłka zapiekane z pianką. <u>Kolacja</u>: Omlety francuskie ze szpinakiem.
Środa **21** Urszuli	Zupa z włoskiej kapusty. Rizotto z szynką. Kuropatwy z rożna z brusznicami. Buchtle z konfiturami. <u>Kolacja</u>: Kaszka krakowska na grzybkach.
Czwartek **22** Kordull	Barszcz czysty z uszkami. Włoska kapusta faszerowana rydzami. Zrazy napoleońskie z ziemniaczkami. Naleśniki z serem. <u>Kolacja</u>: Smażona kiełbasa z kapustą.
Piątek **23** Jana Kapistrana	Zupa kalafiorowa. Grzanki z jajami. Karp w galarecie. Ryżowe legomina z jabłkami. <u>Kolacja</u>: Ziemniaczki w mundurkach z sardelowem masłem i jaja na twardo.
Sobota **24** Rafała Arch.	Zupa ogórkowa z ziemniaczkami. Płatki z kapustą. Kotleciki baranie z marchewką i sałatą. Kruchy placek z jabłkami. <u>Kolacja</u>: Płucka cielęce zapiekane.

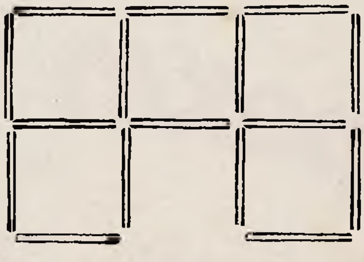
HOCKI-KLOCKI

NIEDOKOŃCZONA SYMFONJA.



Perkusista: — No, nareszcie udało mi się zabić tę dokuczliwą muchę!...

FIGURA Z ZAPAŁEK.



We wskazanej na rysunku figurze należy przełożyć na inne miejsca trzy zapałki w ten sposób, aby zamiast pięciu otrzymać cztery kwadraty.

Rozwiązania z N-ru 41-go.

TESTAMENT.

Syn winien dostać dwa razy więcej od matki, matka dwa razy więcej od córki. Wobec tego zapis należy podzielić na 7 części, z których syn otrzyma 4, matka 2 i córka 1 część.

KLUCZ OD SKRZYNKI.

Dlatego, że list do służącej również leżał w skrzynce, do której nie miała kluczyka.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRÓLIKI I BAŻANTY.

Ze starej chińskiej księgi zagadek: w zagrodzie są zamknięte króliki i bażanty, które mają w sumie 72 nogi i 20 głów. Ile jest w zagrodzie królików, a ile bażantów?

PROCENTY.

Ile wynosi wyrażona w procentach różnica między jednym procentem a dwoma procentami?

KTÓRA LICZBA?

Która siedmiocyfrowa liczba, podzielona przez swą siódmą część, daje w wyniku siedem?

PODZIAŁ CZEKOLADY.

Kilkoro dzieci poszło na spacer. Po drodze spotkali przekupnia, sprzedającego czekoladę w cenie: tabliczkę za złotego, dwie tabliczki za złotego i trzy za złotego. Chłopców było tylu, ile dziewcząt, kupili oni czekolady za siedem złotych i podzielili się tak, że każde dziecko dostało taką samą ilość tabliczek. Jak podzielono czekoladę i ile dostało każde?

WSPOMNIENIE Z CZASÓW WOJNY.

Dnia 26 pewnego miesiąca podczas wojny wysłano paczkę ze Lwowa do Krakowa; paczka doszła do rąk adresata 1-go następnego miesiąca i była w drodze, licząc dzień nadania i odbioru, 5 dni. W którym miesiącu i roku wysłano tę paczkę?

HUMOR ZAGRANICZNY

ŚCISŁOŚĆ HISTORYCZNA W FILMIE.



Reżyser do aktora: — Ależ panie! Przecież Napoleon I. nigdy nie nosił takich butów!...
(Ric-et-Rac)

Dokończenie ze str. 26.

a startowało w biegu ok. 40 pań i jeźdźców, w tem pani pułkownikowa Kowalczewska, pani Płoska, znany jeździec mjr. Trenkwald, mjr. Dobrowolski, rtm. Łopuski i w. in. Psy biegły wyznaczonym śladem, prowadząc jeźdźców przez liczne przeszkody bardzo dobrze obmyślane przez por. Strickera.

Zakończenie biegu czyli t. zw. Halali wypadło w Straszęcinie na terenach gościnnego właściciela majątku p. Stubenvolla. Odbyło się tam śniadanie myśliwskie a także i tańce pod gołem niebem. Całość tej imprezy wypadła bardzo dobrze a pogodny nastrój charakteryzował ten piękny bieg, który, co trzeba zaznaczyć ze specjalnem podkreśleniem, był pierwszym z całej serji biegów, jakie 5 Pułk Strzelców Konnych urządza na jesieni.

Pierwszy ten bieg poprzedzony był inną uroczystością kawaleryjską. Oto w przeddzień biegu przybył do Dębicy rajd konny 17 Brygady Kawalerji, który pod dowództwem płk. Hanki-Kuleszy przejechał całą południową Polskę, zawadzając o Lublin, Kielce, Częstochowę, Kraków, Dębicę i powrócił potem do Łańcuta. Z okazji przybycia uczestników rajdu odbył się w kasynie 5 Pułku Strzelców Konnych raut, podczas którego płk. Hanka-Kulesza wręczył płk. Kowalczewskiemu odznakę 17 Brygady Kawalerji a płk. dypl. Sawicki wręczył pani pułkownikowej Kowalczewskiej odznakę 2 Pułku Strzelców Konnych. Nazajutrz rano uczestnicy rajdu wyruszyli w dalszą drogę, odprowadzani przez całą kawalkadę pań i jeźdźców z Dębicy.

Poprawiająca się obecnie pogoda umożliwi organizowanie dalszych biegów myśliwskich w całej Polsce. A trzeba zaznaczyć, że sport konny został w ostatnich latach wydatnie spopularyzowany i coraz więcej bierze udział w tym ruchu osób cywilnych, co należy powitać z radością. Zawody konne w Lublinie i Katowicach dowiodły, że klasa cywilnych jeźdźców podniosła się znacznie i że jeźdźcy cywilni rywalizują już z jeźdźcami wojskowymi. A pod tym względem staliśmy bardzo daleko za zagranicą, gdzie zwłaszcza w Niemczech i Anglji jeździectwo cywilne liczebnie i jakościowo dorównywało innym gałęziom sportu. **W. D.**

Dokończenie ze str. 28.

w paski będą takim samym karykaturalnym wyskokiem, jak wstydliwie wyglądający spod futra miejskiego fragment sportowego dresu. Sprawienie sobie odpowiedniego pendant — w tym wypadku w postaci ciemnego palta, staje się więc i tu nieodzowną koniecznością. Futro miejskie i ulster zimowy, lub futro sportowe i palto — oto dwie pary, z których każda spełni w zupełności zadanie uniwersalnego okrycia zimowego.

Istnieją jednak szczęśliwcy, dla których kupienie sobie dwóch futer nie natrafia na większe trudności. Ci mają już zgóry sprawę rozwiązaną i biedzą się tylko nad doborem fasonów i rodzajów samego podbicia. Powinni oni pamiętać o jednem, że naczelną zasadą futra wieczorowego jest zachowanie zupełnej ciągłości pomiędzy kołnierzem i spodem i że dlatego do tego rodzaju futra najlepiej nadaje się sealskin lub czarny krymski baranek.

W futrach sportowych rozróżnić możemy te, które się nosi w mieście i one zwykle przypominają z wyglądu ulstry (często z dragonem), przyczem tylko sam kołnierz bez klap pokryty jest futrem — lub takie, które zgóry przeznacza się do wyłącznie sportowego użytku i wówczas w grę wchodzą przeróżne fasony, a z nimi związane różne długości, szerokości, rodzaje futer na podbicia i kołnierze, wkońcu uzupełnienia wierzchu w postaci pasków, nakładanych kieszeni i t. p. Ale o tem następnym razem.

Brummel.

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

Świetna duńska powieściopisarka **Karin Michaelis** w **„Małżeństwie Justyny“** (Wydawn. „Księgarni Popularnej“), źródła największych konfliktów i tragedyj dopatruje się w kłamstwie, które, zdaniem autorki, przeważnie obce jest ludziom dzielnym i silnym, a posługują się niem ludzie słabi, którzy później sami padają ofiarą własnego kłamstwa. Kłamstwo popchnęło do zbrodni piękną doktorową, której tragedją życia były trzy role żony, matki i kochanki, omotane kłamstwami. Powieść ciekawa, pełna silnych scen.

Błyskawiczną akcję, awanturniczą, sensacyjną fabułę posiada powieść P. G. **Wodehouse'a „Goście z pod ciemnej gwiazdy“** (nakł. „Roju“), która jest interesującą lekturą „do poduszki“. Są tu i kompromitujące listy, włamywacze, klejnoty, miłość itd. itd.. wszystko powiązane ze sobą wcale zręcznie.

NA SCENIE.

Teatr Ziemi Pomorskiej w Toruniu, kierowany przez Wład. Brackiego, walcząc z dużemi trudnościami, na całem Pomorzu wśród najszerszych warstw społeczeństwa szerzy zamiłowanie do teatru. Na inaugurację nowego sezonu wystawiono z dużą starannością i pomysłowością potężną **„Nieboską Komedję“** Krasińskiego, w oryginalnej oprawie architektonicznej W. Małkowskiego i w reżyserji A. Piekarskiego. Wyrazistą i mocną postać Pankracego dał dyr. Bracki, ponadto wyróżnili się Kopczyńska (Orcio), Piekarski, Surzyński. Ilustrację muzyczną opracował J. Mund.



Marja Malanowiczówna, wybitna artystka sceny lwowskiej, która gra obecnie główną rolę w komedji Bogusławskiego „Spazmy modne“.

Wśród teatrów prowincjonalnych dobrym, wyrównanym zespołem aktorskim i rozsądnym planem repertuarowym wyróżnia się **Teatr Miejski im. Orzeszkowej w Grodnie**, będący równocześnie teatrem objazdowym samorządów woj. białostockiego, a pozostający pod dyr. Józefa Grodnickiego. Nowy sezon rozpoczął teatr grodzieński **„Kaligulą“** K. H. Rostworowskiego. Tytułową rolę odtworzył Bielecki, a główne role grali Ustarbowska (Milonia), Skassówna (Lollia), Łodziński (Cherea), Karowski (Regulus), Vorbrodt (Demetrius), Nowacki (Protogenes), który równocześnie przygotował reżysersko przedstawienie. W cieszącej się także i w Grodnie dużem powodzeniem **„Maturze“**, na szczególne wyróżnienie zasługują Ustarbowska (prof. Mathe), K. Bohusz-Szyszkówna (Katarzyna Seidl), Nowacki (dyrektor), Krzemieniecki (Cibula). Równocześnie gra teatr grodzieński **„Pierwszy występ Jenny“** z Brochocką w roli tytułowej.



W Teatrze Polskim w Poznaniu ukazała się na scenie komedja J. Anouilh pt. „Był sobie więzień“. Dzięki świetnemu wykonaniu przez cały zespół z Marjuszem Maszyńskim na czele, sztuka cieszyła się dużem powodzeniem — Na zdjęcia Maszyński w roli Ludwika i Rosłam w roli Marcelego.

Teatr Miejski na Pohulance święcił obecnie rocznicę 150 lat swego istnienia. Stały Teatr w Wilnie założył Wojciech Bogusławski, gdy intrygami dworskiemi zmuszony został wyemigrować z Warszawy. Z okazji tej rocznicy i święta „Ojca teatru narodowego“ teatr wileński wystawił sztukę historyczną Wincentego Rapackiego (ojca) p. t. **„Bogusławski i jego scena“**. Sztuka grana jest w Wilnie bez adaptacji i przeróbek, a doskonale wyreżyserowana została przez M. Szpakiewicza, piękną, stylową oprawę malarską dał Makojnik. Rolę Bogusławskiego gra szlachetnie A. Szymański, ponadto dobre postacie dają Niedźwiecka, Żmijewska, Szpakiewiczowa, Surowa, Dzwonkowski, Neubelt i zwłaszcza Wołłejko.

Wojciecha Bogusławskiego uczciła również **scena lwowska** wystawieniem jego komedji **„Spazmy modne“** w reżyserji artysty dramatycznego i dramaturga Cwojdzińskiego. Piękną kreację w tej komedji dała wybitna artystka Marja Malanowiczówna.

W teatrze **im. J. Słowackiego w Krakowie** grany jest obecnie **„Otello“** Szekspira. Dyr. K. Frycz dał wspaniałą oprawę malarską i kostjumową i doskonale wyreżyserował tragedję. Rolę tytułową gra znakomity artysta K. Junosza-Stępowski, dając ciekawą kreację; bardzo interesującą rolę Jaga odtwarza J. Karbowski, a rolę Desdemony gra T. Suchecka. (swb).

NA NAJLEPSZEJ FALI

NIEDZIELA — dnia 18. X.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa z Kolegjaty Szamotulskiej.
12.03 Koncert rozrywkowy z udziałem chóru Dana.
11.30 Kapela ludowa Feliksa Dzierażanowskiego.
15.30 „Audycja dla wsi“.
16.30 Oryginalna sielanka dźwiękowa „Walczyki panny Ludwiki“.
17.00 Koncert symfoniczny.
19.00 „Literaci i mecenas“.
19.20 Myzyka rozrywkowa (płyty).
21.00 „Na wesołej lwowskiej fali“.
21.30 Utwory fortepjanowe Sergjusza Prokofjewa w wykonaniu Bolesława Woytowicza.
22.00 „Fantazje operowe i operetkowe.

PONIEDZIAŁEK — dnia 19. x.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla dzieci.
12.03 Koncert orkiestry wojskowej.
12.40 „O niektórych trudnościach wychowawczych“: „Samowola“.
15.15 Utwory Georges Bizet'a (płyty).
15.55 „Wszystkiego po trochu“ — audycja dla dzieci.
16.15 „Nowa pisownia“ — wskazówki praktyczne.
16.30 Utwory fortepianowe.
17.00 „Od Leszczyńskiego do Konarskiego“ — odczyt
17.15 Trio salonowe Polskiego Radia.
17.50 „Laniatal i tkaniny szklane“ — pogadanka.
18.50 „Co wam powiem o zdrowiu“ — gawęda dla młodzieży wiejskiej.
19.00 Audycja żołnierska.
19.30 Fryderyk Smetana: Kwartet Smyczkowy e-moll.
20.00 Koncert muzyki jugosłowiańskiej.
21.00 „Od Sygietyńskiego do Brzozowskiego“ — wieczór literacki.
21.30 Muzyka lekka.
22.00 Koncert w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej P. R.
23.00 Muzyka taneczna.

WTOREK — dnia 20. x.

5.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 „Paderewski gra“ (płyty).
15.15 Koncert w wykonaniu Orkiestry P. R. pod dyr. O. Straszyńskiego.
16.30 Koncert w wykonaniu zespołu Pawla Rynasa.
17.00 „Profesor Kazimierz Twardowski“ — wygłosi prof. Kotarbiński.
17.15 Muzyka
17.50 Monolog Juliana Tuwima.
19.00 „Dyskutujemy: „Szkoła a życie“
19.20 Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Z. Górzyńskiego.
20.00 Felieton muzyczny pt.: „Życie koncertowe w epoce dyliżansu“
20.15 Koncert symfoniczny.
22.30 „Od kłębka do nitki“ — szkic literacki.
22.45 Muzyka taneczna.

ŚRODA — dnia 21. x.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.30 Koncert w wykonaniu Łódzkiej Orkiestry Salonowej.
12.40 Kwasimy kapustę — pogadanka.
15.15 Koncert popołudniowy w wykonaniu Orkiestry Symfon. P. R.
16.30 Albert Sandler ze swoją orkiestrą (płyty).
17.00 „Szkoła rekruta, szkołą obywatelską“ — odczyt.
17.15 W ojczyźnie Rabindranatha Tagore“ — reportaż muzyczny.
17.50 „Spotkanie z Józefem Conradem“ — pogadanka.
18.50 „Stan dróg a kieszeń rolnika“ — pogadanka.
19.20 Muzyka lekka.
20.55 Koncert europejski z Belgii.
22.00 Koncert chopinowski.
22.30 Muzyka lekka i taneczna.

CZWARTEK — dnia 22. x.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Poranek muzyczny dla szkół powsz. z Filh. Warszawskiej.
12.40 „Czego unikać przy scalaniu gruntów“ — pogadanka.
16.20 „Kim jest twój tatuś? — Szoferem w autobusie“ —audycja dla dzieci.
16.35 Orkiestra P. R. pod dyr. Mieczysława Mierzejewskiego.
17.00 „Pracodawcy w Niemczech“ — reportaż.
17.15 Dalszy ciąg koncertu w wyk. Orkiestry P. R.
17.50 „O dalszych listach Napoleona do Marii Ludwiki“.
19.00 Premiera słuchowiska pt.: „Magia liczb“.
19.30 Recital fortepianowy Ray Ley.
20.00 Rozwiązanie konkursu na zbieranie pieśni ludowych.
20.30 „Na plantacji tytoniu“ — reportaż.
21.00 II-ga audycja z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich“: Tadeusz Szeligowski“.
21.45 Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Z. Górzyńskiego.
22.30 „Płyty dla znawców“.
23.00 Muzyka taneczna.

PIĄTEK — dnia 23. x.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 „Wschodnie nastroje“ w wyk. Zespołu Niny Mańskiej.
15.15 Muzyka salonowa w wyk. Ork. Marka Webera.
16.30 I-sza „Wiązanka pieśni ludowych śląskich“.
17.00 „Bułgaria — kraj pieśni“ — odczyt.
17.15 Koncert solistów.
18.15 „Na targowisku“ — reportaż.
19.00 „Portret cesarza“ — fragment z powieści.
19.20 „Z pieśnią po kraju“.
20.00 „Trochę muzyki angielskiej“ — koncert.
21.00 Muzyka salonowa (płyty)
21.28 Włoskie pieśni ludowe (Transmisja z Włoch).
22.00 Ryszard Strauss: Kwartet fortepianowy c-moll op. 13.
22.30 „Ogródek udręczeń“ — skecz.
22.45 Mała Orkiestra P. R.

SOBOTA — dnia 24. x.

6.30 Audycja poranna.
11.30 „Śpiewajmy piosenki“.
12.03 Koncert rozrywkowy.
14.30 Teatr Wyobraźni dla dzieci starszych: Mapa.
15.15 Muzyka baletowa (płyty).
16.15 Zespól Pawła Rynasa.
17.00 Serenady w wykonaniu Witolda Łuczyńskiego.
17.20 Utwory Fortepianowe na 4-ry ręce.
19.00 Audycja dla Polaków za granicą.
19.30 Koncert rozrywkowy
21.00 Recital skrzypcowy Efrema Zimbalisty.
21.30 Koncert wieczorny w wyk. Ork. Symfonicznej P. R.
22.00 „Rzewna opowieść o miłości Rymwida i Azalii“.
22.30 Muzyka taneczna.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.